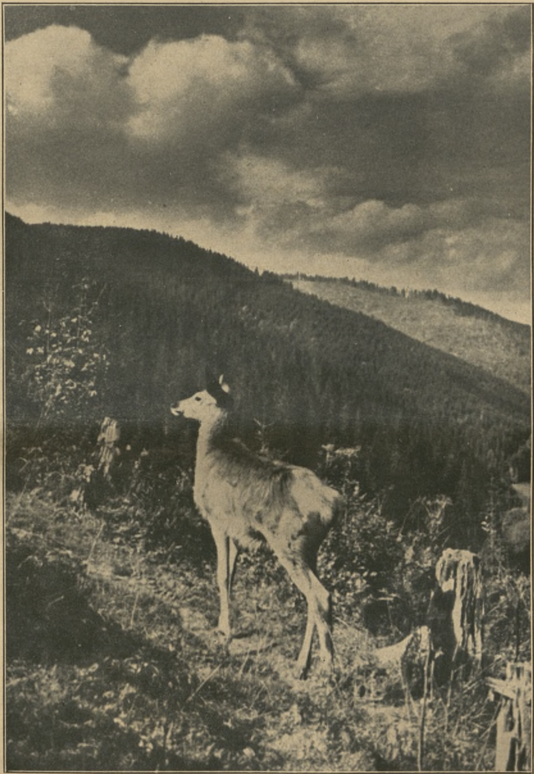
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



W Karpatach. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 25 (801) 1 WRZEŚNIA 1935 R.



Z rykowiska 1934 r. w Karpatach. Fot. W. Puchalski.

KONKURS FOTOGRAFICZNY ŁOWCA POLSKIEGO.

Ogłaszamy, jak co roku, konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie.

W premjowaniu będą brane pod uwagę fotografje najodpowiedniejsze do reprodukcji w „Łowcu Polskim".

Zasadnicze warunki konkursu pozostają, jak zawsze, te same.

Wobec stale wznoszącego się poziomu nadsyłanych na konkursy zdjęć fotograficznych i pragnąc zachęcić jak najszersze koła ubiegających się o nagrody, Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i w tym roku postanowił powiększyć liczbę nagród w porównaniu z ubiegłemi latami.

Nagrody pieniężne określono, jak następuje: I nagroda zł. 150.—; II — zł. 100.—; III — zł. 50.—; IV — roczna prenumerata „Łowca Polskiego" i V — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego", przyczem tych dwóch ostatnich nagród ustalono potrójną liczbę.

Niezależnie od powyższych nagród będą przyznane za wybitne zdjęcia także odznaczenia w postaci złotych, srebrnych i bronzowych żetonów.

Jury konkursowemu przysługuje nadanie wszystkich wymienionych nagród i odznaczeń według uznania, bądź za pojedyńcze zdjęcia, bądź też za serje, lub całokształt pracy autorskiej.

Jury konkursowe stanowią, jak corocznie, członkowie Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Dla otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej odbitki w druku, konieczną jest ostrość zdjęcia, eksponowanego właściwie i odbitego na papierze bromosrebrnym, świecącym. Najbardziej pożądany jest czarny kolor odbitki.

Przypominamy, że na zdjęciach (odbitkach), nadsyłanych na konkurs, należy podawać tytuł obrazu, nazwę miejscowości i powiatu, markę aparatu, użytego do zdjęcia oraz godło konkursowe autora.

Nazwisko i adres, wypisane czytelnie, należy przesłać w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej nazewnątrz tem samem godłem, co wszystkie nadesłane na konkurs fotografje.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich, do użytku pokrewnych czasopism zagranicznych, w celach propagandowych.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Ostateczny termin nadsyłania zdjęć na konkurs upływa 31-go października!

PIESZŁAJTIS.

(Wspomnienie ze Żmudzi).

Dwukrotnie zagrzmiała moja wypróbowana dubeltówka. Wspaniały dublet zlał się z furkotaniem szaro-pstrych kuropatw. Jeszcze chwila i ulatujące stadko znikło, ale na szaro - pstrem ściernisku pozostały takież dwie grudki, wystające nieco ponad poziom ziemi. Bey radośnie pochwycił jedną z nich i poniósł ku mnie z tryumfem, jakgdyby chciał zaznaczyć, że to jego zasługa. W pysku wyżła nabrała wszystkich cech ubitej kuropatwy, podczas gdy druga grudka czekała nieruchomo na następny aport psa.

— Pan strzela prawie tak, jak Pieszłajtis — usłyszałem świeży, metaliczny, głęboki, jak śpiew koguta na tokach, głos.



Chata żmudzka z charakterystyczną figurą obok.

Z pod rosnącej opodal leszczyny wstała i podbiegła ku mnie Onika, córka naszego dzierżawcy. Biegła tak szybko, że uzbierane orzechy zaczęły wypadać z koszyka, a spódniczka zafurkotała na wietrze, jak stadko kuropatw. Ale ani jej samie ruchy, ani łopot pstrej spódniczki, ani radosny śmiech bez przyczyny i powodu, nie zdołały rozwiać chmury na mem czole — zadraśniętego w swej ambicji strzelca.

— Co takiego? Ja strzelam prawie, jak Pieszłajtis? Zobaczymy — i, zrobiwszy nagły zwrot wtył, poszedłem do domu, aby odnaleźć Pieszłajtisa.

Dziewczyna zatrzymała się, jak wryta. Po chwili skierowała się zwolna z powrotem ku leszczynie i zaczęła zrywać orzechy. Tylko jej złożone w podkowę usta drżały, jak niezerwane wiśnie...

*

Pieszłajtis pogładził powolnym ruchem biało-czarną, łaciastą głowę wyżła, a potem, zmierzywszy uszy i obejrzawszy pióro (ogon), orzekł z autorytetem:

— D o b r a p i e s a.

Była to pochwała szczodra i ważka. Zanim Pieszłajtis ustatkował się i został na starość parobkiem we dworze, grasował niegdyś w okolicy wraz z bratem, jako znany kłusownik, a zarazem doświadczony strzelec i myśliwy. Hańba kłusownictwa poszła z biegiem czasu w niepamięć — sława strzelca pozostała. Niełatwo było staremu zaimponować byle czem.

— Sto rubli kosztuje — powiedziałem, aby podkreślić walory ulubieńca.

Pieszłajtis kiwnął głową na znak, że uważa to za cenę normalną i poczłapał do swej kumetyni (czworaków) wolnym, drobnym krokiem, jakim zwykł iść przez pole za pługiem i jakim szedł wogóle przez życie.

— Jak on mógł kiedyś polować? Jak mógł wojować w Chinach, a potem na wojnie japońskiej? — pomyślałem sobie, patrząc z politowaniem na ospałe i niedołężne ruchy starca. Na zakręcie Pieszłajtis przystanął i jeszcze raz obejrzał się za psem. A jednak natura ciągnie wilka do lasu.

— Chodź, Pieszłajtis, ze mną w pole — krzyknąłem do niego.

— N i e m o g a — odrzekł starzec, wskazując na dzierżawcę, który właśnie zbliżał się ku niemu.

*

Sierpień roku 1912 upływał mi bardzo szybko, a polowanie z Pieszłajtisem wciąż jakoś nie mogło dojść do skutku. Najpierw nie zgadzał się na to nasz dzierżawca — że to niby roboty w polu i że odrywam starego od pługa.

Niechętnie ustosunkował się i ekskłusownik:

— Stary ja. I o k a m o j a już nie ta, co b y w s z y.

Wreszcie, gdy się zgodzili obaj, na przeszkodzie stanęła Onika... a właściwie jej łopocząca na wietrze, jak stadko kuropatw, spódniczka. Niestety, jednak łatwiej było o dubleta na polowaniu, niż o istotny sukces u córki dzierżawcy. Skończyło się na zbieraniu orzechów i... wisien.

A wogóle niedługo już było tego sezonu myśliwskiego i wywczasów wakacyjnych. Czas ochronny na kuropatwy kończył się wówczas w sierpniu, a we wrześniu musiałem już być w „Kowienskoj Gimnazji".

Odłożyłem tedy pojedynek z Pieszłajtisem na przyszły rok.

Czas zresztą leciał, jak na skrzydłach. Ani się obejrzałem, jak przeszedłem do następnej klasy i znów znalazłem się na wakacjach w rodzinnym majątku.

*

O świcie pewnego listopadowego dnia mijałem właśnie z psem i strzelbą wozownię, gdy zobaczyłem starego Pieszłajtisa, reperującego jakiś wóz. Postarzał od zeszłego roku, zgarbił się i jakby wrósł w ziemię, a ruchy jego stały się jeszcze bardziej leniwe i powolne.

— Dzień dobry, Pieszłajtis! A może dziś chcesz ze mną pójść do lasu?

— N i e p ó j d a.

— Dlaczego?

— Las, jak wódka. Poprobujesz — zasmakujesz.

— A ja na cietrzewie idę.

— Na c i e c i e r u k i? A dokąd?

— Do Oszkagiry i Girłanki.

Stary rzucił siekierę na ziemię i wyprostował się na cały wzrost.

— A s t r e l b a dasz panicz?

— Dam ci drugą moją dubeltówkę.

— No to dobra.

I poszliśmy. Pod Oszkagirą skręciłem na lewo.

— Dokąd panicz?

— Pójdziemy na Girłankę. Tam wczoraj było najwięcej.

Było to bezczelne kłamstwo. Zdarzały się wprawdzie cietrzewie i na podleśnych łąkach Girłanki, ale najpewniejsze i najobfitsze polowanie zapowiadało się raczej na przesiekach i w maliniakach wielkiego lasu. Lecz ja perfidnie postanowiłem zmęczyć i wyczerpać starego na dalekiej wycieczce, ażeby tem więcej pudłował, gdy w powrotnej drodze zahaczymy o sezamy strzeleckie w Oszkagirze.

— Wczoraj ja był w domu. Pod sercem bolało. To i nie wiem, jaka tam była pogoda — i tu stary rozejrzał się wokół siebie i po niebie. — A dziś c i e c i e r u k i siedzą na przesiekach.

Zagryzłem wargi — dzień się zaczynał od ciężkiej myśliwskiej kompromitacji.

Doszedłszy skrajem lasu do najczystszej przesieki, chciałem skręcić na prawo.

— Chodź panicz do drugiej przesieki. Gorąco dziś. Ja wiem, gdzie one dzisiaj siedzą.

Nie było rady i zaczęliśmy polowanie wedle wskazówek Pieszłajtisa. Pies szedł posłusznie u nogi, chociaż drżał na całem ciele z niecierpliwości i żądzy wyskoczenia naprzód. Szukaj! — krzyknąłem do niego, nabijając strzelbę. Zaledwie jednak szczęknęło zamknięcie dubeltówki, jak wyżeł już stanął, a potem zaczął prowadzić. Szliśmy teraz z Pieszłajtisem za psem, zdając się całkowicie na jego węch.

Wyżeł prowadził do niskiego, lecz gęstego zagajnika. Trudno tam będzie strzelać celnie, ale nie niemożliwie. W każdym razie trzeba będzie korzystać z każdej sekundy i strzelać natychmiast, jak tylko migną w krzakach granatowe pióra.

A może uda nam się wejść w środek krzaków, zanim wyżeł wystawi na dobre? Znam ten zagajnik, jak swoje pięć palców i wiem, że wówczas możliwości strzału staną się większe.

Niestety, nie weszliśmy do zagajnika — ani ja, ani Pieszłajtis, ani nawet Bey. Byliśmy od niego wszyscy o jakieś 70 kroków, gdy w gąszczach ciężko i głucho załopotało. Jakiś duży ptak zerwał się i odleciał w niewiadomym kierunku, tak, żeśmy go nie zobaczyli zupełnie. Za chwilę powtórzyło się to samo z drugim cietrzewiem. Ptaki zrywały się w gąszczu kolejno z niewiadomego powodu, bo pies był tuż przy nas, a nawet nie zdążył zrobić stójki.

Nagle usłyszałem znowu łopot skrzydeł, tym razem za najbliższym krzakiem i w tejże chwili wśród gęstwy mignęło coś granatowego. Nie było ani sekundy do namysłu — złożyłem się...

— Nie strzelać! — wrzasnął Pieszłajtis. Jednocześnie z zagajnika wyszła w granatowej spódnicy Onika.

Gniew i wstyd odebrał mi mowę. Przyskoczyłem do dziewczyny, aby jej nawymyślać, jak należy i wtedy dopiero zauważyłem, jak bardzo Onika urosła i rozkwitła od zeszłego roku. Obcisła, ciemno-granatowa sukienka podkreślała wszystko, co było do podkreślenia. Była o głowę niższa odemnie, lecz djablo zgrabna i ponętna. Oparła prowokacyjnie ręce na biodrach i patrzyła na mnie z dołu w górę, odchylając się wtył i jakgdyby nastawiając wszystko, co było do wzięcia.

— Co to jest, psia krew! Włóczyć się tak nieostrożnie!

Za całą odpowiedź dziewczyna pokazała dwa białe sznury zdrowych zębów.

— Zastrzelę! — krzyknąłem już bez przekonania.

— Pocałujesz — odpowiedziały z pod przymkniętych rzęs roześmiane oczy.

— Co tu robisz w lesie? — zapytałem już ciszej.

— Zbieram jagody. A potem pójdę do brata Pieszłajtisa, do Uroczyska, pod k a z i o n n y las.

— A ty poco do jego brata?

— Ojciec posłał. Przygrozić, że poda go do sądu za zabitą sarnę.

— To ty umiesz grozić? — zapytałem całkiem rozbawiony.

Dziewczyna roześmiała się.

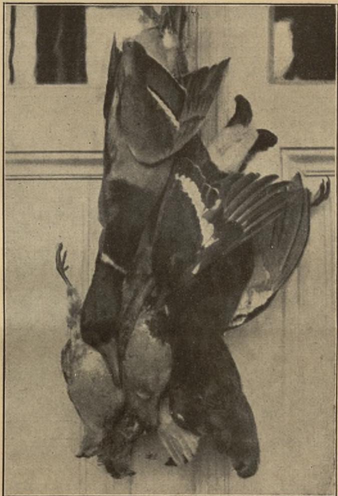
— Lepiej od was.

Już jej nie kląłem. Przeciwnie kląłem w duchu obecność Pieszłajtisa i całe polowanie.

— Wiesz co, Pieszłajtis — gorąco teraz. Może zapolujemy po południu?

— Nie, panicz — zacząłeś, to już kończ. Teraz dziesiąta rano. Pochodzim jeszcze z dziesięć godzin.

— Sapristi! Jestem myśliwym, czy nie? Do widzenia, Oniko!



Jesienny bukiet — Fot. kpt. Szczepański

Daremnie wyrzekłem się Oniki, daremnie wyłaziłem ze skóry, aby naprawić swą nadszarpniętą dzisiejszemi gafami myśliwską reputację. Przeszliśmy pokolei wszystkie przesieki naszego lasu, lasu mego kuzyna Stacha i lasu stryjenki Janowej, a Pieszłajtis był wciąż niezmordowany i strzelał z niezawodną precyzją i pewnością siebie, która doszczętnie zdruzgotała mój spokój i moją zimną krew.

Co gorsze — stary strzelał tak błyskawicznie, że niepodobna było go uprzedzić. Zaledwie ciężko podnoszący się w powietrze cietrzew wychylał się z mchów i borówkowych lub sinicowych krzewów, zaledwie zaczynałem się do niego składać, jak cel mój już koziołkował w powietrzu i znikał w trawie, trafiony strzałem Pieszłajtisa.

Czasami bałem się nawet o Bey'a, bo zdarzało się, że Pieszłajtis trafiał cietrzewia o metr od psiego nosa.

W ten sposób nie mogłem dojść do strzału przez całą pierwszą połowę dnia, a speszyłem się tem wszystkiem i zdenerwowałem tak dalece, że, gdy

w pewnej chwili cietrzew zerwał się, zanim Pieszłajtis zdążył nabić po wspaniałym dublecie wystrzeloną strzelbę — ja haniebnie i skandalicznie spudłowałem.

Wkońcu zrozumiałem, że trzeba się pogodzić z losem i uznać zwycięstwo Pieszłajtisa przy stanie 10 do 0, a jak tak dalej pójdzie do wieczora, to przy stanie 20 do 0. Machnąłem ręką na wynik i zacząłem obserwować fenomen strzelca.

Od chwili, gdy znaleźliśmy się w lesie, Pieszłajtis stał się jakiś młodszy, wyższy i weselszy. Poruszał się szybko i zwinnie. Słomiany kapelusz, zawadjacko zsunięty na tył głowy, odsłaniał niskie, lecz szerokie czoło, krzaczaste brwi i małe, ożywione jakimś dziwnym blaskiem oczy, które przeszywały na wylot, jakby się zdawało, każdy krzak i każdy liść. Oczy te ustawicznie biegały na wszystkie strony tak, że gdziekolwiek stary się zwrócił, widział zawsze niemal wszystko naraz, co się działo przed nim i po bokach. Szerokie, zwierzęce nozdrza z widocznem upodobaniem wdychały zapach żywicy i leśnych malin.



Z polowań na kaczki. Fot. M. Lissowski.

Nie mówił nic i niechętnie odpowiadał na pytania, cały natomiast zamienił się w oko i ucho. Bo słuch Pieszłajtisa był równie fenomenalny, jak i wzrok. Mówiono o nim rzeczy, w które nigdy nie chciało mi się wierzyć — naprzykład, że słyszał jarząbka z odległości czterech kilometrów. Taką właśnie była odległość Oszkagiry od dworu, którego Pieszłajtis nie opuszczał od kilku lat aż do dzisiejszego dnia, chodziaż codziennie po pracy siadywał o zachodzie słońca na przyzbie czworaków i wpatrywał się w siniejący na horyzoncie bór.

Przypomniała mi się teraz cała historja Pieszłajtisa, od kłusownictwa do służby we dworze. Trup gajowego w lesie. Poszlaki. Areszt. Sąd. Brak dowodów — zwolnienie. Ale ludzie zaczęli stronić od kłusownika i nawet ksiądz potępił go z ambony. Stary ukorzył się i został parobkiem we dworze, a sprawa powoli poszła w zapomnienie.

Dziś, mimo kilkoletniej przerwy, Pieszłajtis odrazu wpadł w dawne tempo i dawne, niedościgłe dla nikogo mistrzostwo strzału. Słowem — artysta. Gdyby go wyciągnąć na szerszą arenę sportową i dopuścić do zawodów strzeleckich, pobiłby wszystkich renomowanych rekordzistów i został sławnym championem.

Podziwu godna była też wytrzymałość fizyczna w tak podeszłym wieku. Pieszłajtis wydawał się dziś bez porównania ruchliwszy nietylko od tego Pieszłajtisa, którego przywykłem widywać za pługiem, lecz i od swego szesnastoletniego panicza, który teraz po dziesięciogodzinnej włóczędze miał ochotę wywiesić język podobnie, jak jego wierny pies. Bo Bey miał już stanowczo dość polowania na skwarze i co chwila kładł się w trawę, dysząc szybko i częstotliwie, podczas gdy ślina ściekała mu wielkiemi płatami z ozora na ziemię.

Korzystając z tego, że można było zwalić wszystko na karb zmęczenia psa, zaproponowałem dłuższy odpoczynek. Rachuby moje jednak zawiodły.

— Jutro robota w polu, to dziś już popolujem do wieczora.

— A pies?

— Psa zamkniem u mojego brata, to blisko — wszystkiego pół wiorsty stąd.

— Nie, Pieszłajtis, nie zostawię tam Bey'a. Zresztą jakbyśmy mogli polować bez niego?

Zaledwie wyrzekłem te słowa, jak zrozumiałem cały ich bezsens. Pieszłajtis uśmiechnął się z odcieniem wyższości i politowania.

— Ja bez psa więcej zabiję, niż p o n a j t i s z trzema psami.

Połknąłem i tę pigułkę, zwłaszcza, że była to święta prawda, niemniej postanowiłem odpocząć, a zarazem uspokoić wypoczynkiem wzburzone nerwy. Toteż oświadczyłem, że pies dalej nie pójdzie i zarządziłem przerwę. Zboczyliśmy z wystawionej na skwar słońca leśnej łączki w cienisty, chłodny starodrzew i tu położyliśmy się na wilgotnej ziemi.

Właściwie położyłem się ja z Bey'em. Stary kłusownik stanął opodal i zaczął oglądać stan strzelby.

— Siadaj, Pieszłajtis, rzekłem do niego, przewracając się jednocześnie nawznak i rozrzucając jak najwygodniej strudzone nogi.

Pieszłajtis z godnością podziękował za pozwolenie, zbliżył się nieco, lecz nie skorzystał. Rzucił natomiast swoich dziesięć, czy jedenaście cietrzewi. Pęk ubitego ptactwa uderzył z łomotem o ziemię i o moje biedne, upokorzone serce. Psiakrew, bodaj jeden marny cietrzew! *Lasciate ogni speranza!*—powiedziałem sobie, jak potępieniec i uczułem się najnieszczęśliwszym z ludzi.

A jednak, mimo piekła w duszy, widzę nad sobą niebo pogodne pendzla Rafaela. Bezwiednie wpatruję się w gorejący lipcowym upałem lazur i w bezruch zadumanych sosen. Na turkusowem tle sklepienia wykrzywione konwulsyjnie konary załamały ręce i czekały na coś bez słowa i drgnienia. Na co? Chyba na wiatr, niecnotę, który poszedł sobie hulać w inne strony i zostawił tu po sobie ciszę. Ale cisza, to piękna niemowa, która nie zastąpi wesołego gaduły. Więc sosny stoją milczące i stęsknione, a cisza tęskni wraz z niemi. Niech wróci umiłowany lekkoduch, niech zakołysze naraz tysiącem gałęzi i zagada tysiącem głosów.

Tak dumały sosny. Ale ja lubię las, pogrążony w milczeniu. A teraz cisza wypełnia i łączy wszystko w jedno: ziemię, bór, niebo i nas obu zamyślonych myśliwych.

Ciekawe, o czem teraz myśli Pieszłajtis? Odwróciłem głowę i spojrzałem na niego.

W tej właśnie chwili Pieszłajtis przemówił, nasłuchując pilnie coś, co dla mnie przebrzmiało całkiem niepostrzeżenie.

— T e t e r u k a j! Starka — rzekł i uśmiechnął się. Nasunięte na niskie czoło kosmyki włosów zdawały się teraz dotykać brwi, które drgnęły i podniosły się ku górze. Kąty wąskich, zawsze zaciśniętych warg rozszerzyły się i wyszczerzyły bezzębną jamę ust. Zmięty pergamin policzków sfałdował się jeszcze bardziej. Niegolona od tygodnia szczecina brody zje-

żyła się gęściej, niż zwykle, wyraźnie podkreślając zwierzęcą szczękę i wysunięty podgródek Żmudzina. Nie uśmiech to, a grymas brzydki i dziwaczny. Lecz źrenice gorzeją wewnętrznym ogniem. Co za kontrast między starczą, szarą, steraną twarzą i młodzieńczym, radosnym, roześmianym wzrokiem.

Lecz oto do ucha Pieszłajtisa dochodzą nowe głosy i wywołują w jego oczach odblask coraz to nowych wrażeń. I nietylko w oczach. Łyko mięśni twarzowych drgało mu na szczękach nieustannie, jakgdyby bór wygrywał na niem jakieś przedziwne melodje. To tylko dla mnie las milczy, to tylko mnie cisza zatyka uszy. Do niego puszcza przemawia nieustannie głosami zwierza i ptactwa.

Puszcza żyje w nim i on żyje w puszczy całą pełnią swej pierwotnej natury. Gdy skończymy polowanie i opuścimy ją, Pieszłajtis ponownie zapadnie w stan śpiączki, apatji, przygnębienia i zamknięcia w sobie.

Teraz zapala nareszcie fajkę.

Korzystając z ożywienia Pieszłajtisa, zacząłem wyciągać go na zwierzenia.

— Czemuś nie chciał polować ze mną na kuropatwy?

— Co las, to nie pole — rzekł Pieszłajtis, zaciągając się dymem, jak lasem — a i zwierzyna polna nie ta, co leśna.

— Czy może pan naprawdę nie puszczał ciebie?

Pieszłajtis wyjął fajkę z ust.

— Jaki pan?

— Twój.

— Taki on i pan. Dzierżawca i tyle — i Pieszłajtis splunął z lekceważeniem.

— Bogaty — rzekłem. — Dolary przywiózł z Ameryki i córkę posyła do szkół do miasta.

— B y l i czasy, że ja z jego ojcem w ó d k a p i ł — mruknął Pieszłajtis.

— Nie wiedziałem.

— On do mnie gada: wiesz Pieszłajtis, dostał ja s z i p k a r t a, do Ameryki jadę. Tak ja do niego: d u r n i u s.

— A toś mu przygadał. Gdzież to było?

— A w Botokach. W szynku. On do mnie: sam ty d u r n i u s — mówi. — Tyby dostał s z i p k a r t a, tak zarazby ze mną pojechał i w lesieby nie siedział. A taki siedziałby, mówię. Nie, nie siedziałby. Po dolary pojechałby do Ameryki. Na co mnie p o t r e b a? R u p u ż e twoja Ameryka.

— Rupuże twoja Oszkagira.

— Tak ja, znaczy się w t a p o r a k ł o n i c a c h w y c i w s z y i p o m a c a w s z y... ot, taki i pan, on sam i ten jego syn, dzierżawca i ekskłusownik — zaśmiał się złym, szyderczym, mściwym śmiechem, a twarz jego przybrała wyraz starego sępa.

— Ale, że też młody trzyma ciebie we dworze.

— Do dworu to jeszcze p o n a s - nieboszczyk wasz ojciec mnie wzięli — świeć Panie nad ich duszą. A t r y m a ć, t r y m a j ą mnie we dworze i teraz. Kaby nie trymali we dworze, tak jaby t r y m a ł s t r e l b a w lesie... — i Pieszłajtis zaśmiał się znowu groźnym śmiechem kłusownika i leśnego złodzieja.

Postanowiłem zmienić rozmowę, gdyż matka moja niemniej dbała o zwalczanie kłusownictwa od naszego obecnego dzierżawcy.

— Tyś chyba nigdy w życiu nie spudłował?

— Bywało — odrzekł szczerze ku mojemu zdumieniu.

— Jakto? To chyba niemożliwe. A kiedyż to się zdarzyło?

— Po japońskiej wojnie. Będzie już z dziesięć zim temu. Wrócił ja z wojny, rezerwista, znaczy się, tak zaraz w ten sam dzień dwa naboje z m a r n o w a w s z y.

— Do w i n t ó w k i p r z y w y k s z y, od s t r e l b y o d w y k s z y.

— A jak tam było na tej wojnie? Dużoś Japończyków nastrzelał?

— Do j a p o n c a strzelić nie p r z y g o d z i ł o s i ę.

— Jakże to być mogło? Takiego strzelca wybornego musieli przecież trzymać ciągle w pierwszej linji.

— Nie p r z y c h o d z i ł o się ni razu.

— ??

— Rotny k o m a n d i r wziął mnie za d i e ń s z c z y k a, tak ja jemu codzień strzelał z w i e r z y n a.

— Z karabinu? Kulą w locie?

— A c ó ż? Kula, czy śrut — trafić w s z y s t k o r ó w n o. Tylko, że kula m i ę s a i s k ó r a psuje.

— Długoś był na wojnie?

— Półtora roku byli my w Mandżurji. Ale wojny można powiedzieć i nie widział. Od rotnego wzięli mnie do pułkownika, od pułkownika do generała. Jest co strzelać w Mandżurji. A ruskie oficery zjeść lubią — tak ja polował i polował.



Ordynat Maurycy hr. Zamoyski nad ubitemi przez siebie w dn. 6.8.1935 rogaczami w Trzebieniu.

— Na obiad dla całego oficerskiego s o b r a ń j a. A i skóry im różne przynosił.

— Czemuż ty nie prosił do linji, do szeregu?

— Nie kazali — nie wojował. P r z y k a z u nie było, tak ja i nie szedł zabijać j a p o n c a.

— A czemuż zabijasz zwierzynę?

— Zwierzyna Boża. Zwierzyna dla nas.

— Ale zawsze ciekawie w okopach.

— Na t i g r a pójść ciekawie, nie w okopy. Na t i g r a ja z wami, p o n a j t i s, choć zaraz poszedłby.

— Z temi śrutowemi nabojami? — zaśmiałem się.

— A c o ż? W o u k a trafić t r e b a. Przez o k a d o m o z g a. A w t a p o r a śrut, czy kula — w s z y s t k o r ó w n o.

— No, ja tam na tygrysa bez kulibym się nie wybrał. Sztucery są na to — i to trzeba nielada odwagi.

— P i ę k n a p o l o w a n i a nad Amurem — ciągnął stary. A najwięcej s z k o d u j e ja, że t i g r a u nas nie spotkasz.

— A iluż tych tygrysów tam zabiłeś?

Pieszłajtis nie zdążył odpowiedzieć. Porwał nagle z ziemi swą torbę, skinął ku mnie, wzywając do milczenia i zaczął pilnie nasłuchiwać. Gawędziarska bez-

troska ustąpiła miejsca skupieniu i rozwadze. Pieszłajtis znowu wyprostował się, odmłodniał i jakgdyby urósł, a całą jego postawę cechowała teraz jeszcze większa zaciętość, hardość i sprawność ruchów, niż na początku polowania. Ze zręcznością żonglera przytroczył błyskawicznym ruchem ręki pęk cietrzewi — tym razem nie do boku, lecz do pleców i, pochwyciwszy strzelbę, już był gotów pędzić na zew lasu:

— Słyszysz, panicz?

Prawdę mówiąc, nie słyszałem nic a nic. Niemniej jednak przez jakąś upartą ambicję dałem staremu wymijającą odpowiedź. Dla tej samej przyczyny nie pytałem go wcale, o co to właściwie tym razem chodzi.

Strzelec nabił dubeltówkę i, jak urzeczony, rzucił się w ostępy i haszcze, pociągając i mnie za sobą.

— Weź panicz psa do nogi, — mruknął w biegu — bo przeszkadza.



Dudek. Fot. mjr. S. Bebenkowski.

Odwołałem Beya i podążyłem za Pieszłajtisem, jak terminator za majstrem, lub rekrut za dowódcą.

Odczuwałem boleśnie bezdenną niższość w wyczuciu głosów i szmerów boru, a jednocześnie pożerała mnie szalona ciekawość, co będzie dalej...

Przebiegłszy porządny kawał lasu, stanęliśmy nad polaną, porosłą oczeretem. W środku widniała usiana kępkami ziemi i karłowatej trawy płaszczyzna stęchłej wody.

— Stój! Oparzelisko — krzyknąłem na swego towarzysza. Pieszłajtis nie słuchał. Sunął teraz, jak łoś, posuwistym kłusem, skacząc gładko i lekko z kępki na kępkę, balansując podniesioną do góry strzelbą. Anim się obejrzał, jak jego lipowe łapcie lądowały już bezszelestnie na suchym gruncie. Ominąłem zdradliwą głębię i za chwilę dopędziłem go już po tamtej stronie trzęsawiska. Woda spływała ze mnie, jak z wydry, gdyż po bokach oparzeliska również było dość głęboko, abym się wykąpał razem z Bey'em, strzelbą i nabojami.

Pieszłajtis nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi i pędził naprzód, jak opętany, zatrzymując się zrzadka, na krótko, tylko poto, aby nastawić ucho. Podczas tych przystanków zatrzymywałem się oczywiście i ja. Wówczas strzelec zarzucał strzelbę na ramię i przystawiał do uszu swoje duże, spracowane, sękate dłonie. Raz czy dwa przypadł do ziemi i, odgarnąwszy nieco igliwie, mech, oraz suche gałązki i liście, przyłożył ucho do czarnej, leśnej gleby.

W pewnej chwili zatrzymaliśmy się, jak się zdaje, ostatecznie. Strzelec ukrył siebie i mnie w krzakach, na brzegu szerokiej polany, czy linji i dał znak, że musimy tu długo czekać.

— Poco? — szepnąłem.

Za całą odpowiedź Pieszłajtis położył palec na ustach.

Byliśmy na krańcu lasu stryjenki Janowej. Przed nami ciągnęła się linja leśna o szerokości około sześćdziesięciu kroków, oddzielająca las stryjenki od lasów rządowych. Wogóle różne kompleksy lasów różnych właścicieli ciągnęły się stąd we wszystkie strony świata i do osiedli ludzkich było bardzo daleko. Znajdowaliśmy się w samem sercu puszczy. Wokoło było cicho, ale już nie tak, jak godzinę temu. Wiatr przechadzał się po wierzchołkach drzew i to oddalał się, to znów zbliżał do nas, poprzedzany wzmożonym poszumem prastarych buków i dębów, sosen i jodeł. Wsłuchiwałem się chciwie w ten odwieczny oddech boru, a bór wzdychał i sapał, jakgdyby gniewała go obecność intruzów.

Pole widzenia było zewsząd ograniczone bądź starodrzewiem, bądź sitowiem trzęsawisk i oparzelisk. Jedynie miejsce, na którem usadowiliśmy się w ukryciu, było zupełnie suche i stanowiło pewnego rodzaju przesmyk. Krajobraz niezwykle dziki i pierwotny. Gdyby nie linja, za którą ciągnął się k a z i o n n y las, miałoby się wrażenie, że nigdy nie postała tu ludzka stopa. Obejrzałem się na ogarniętego łowieckim szałem Pieszłajtisa. Stał zaczajony w krzakach, bez kapelusza, tak, że widziałem tylko górną część głowy. Był to teraz łeb pierwotnego mieszkańca pierwotnych puszcz litewskich. Istny człowiek z epoki kamiennej — jaskiniowiec. Za chwilę zabije kamiennym toporem tura, a potem wyssie z gardła na surowo jego krew i stoczy śmiertelny bój o ludzką samicę. Trochę wyobraźni i cała scena gotowa. Samica, to naga, z kawałkiem skóry na biodrach, Onika, a przeciwnikiem jestem ja. O ile jednak Pieszłajtis to klasyczny człowiek leśny, o tyle my z Oniką jesteśmy ludźmi dalekiej przyszłości — jakiegoś dziewiętnastego, czy dwudziestego wieku.

Bo przecież ta strzelba w rękach jaskiniowca, to chyba złudzenie — trzebaby mu raczej dać oszczep. A może i ja sam jestem złudzeniem? Chciałem się uszczypnąć w rękę, gdy Pieszłajtis zoczył widocznie tura i pochwycił oszczep. Ale dość tych żartów i marzeń — oczywiście, że to nie żaden oszczep, tylko moja lankastrówka, a Pieszłajtis nie szykuje się na spotkanie z turem, tylko ubije zwykłego jarząbka, lub coś podobnego.

W rzeczywistości zaszeleściły niebawem liście i gałązki i na linję wyskoczyły dwie sarny.

Jednocześnie Pieszłajtis złożył się i wystrzelił.

Było to jego pierwsze pudło. Oburzony do żywego, że śmie strzelać do kóz w ochronnym czasie — w dodatku do cudzych — przyskoczyłem i podbiłem mu rękę. Blady z gniewu i wściekłości odskoczył na parę kroków wbok i złożył się powtórnie do kozy, która śmigała teraz, jak strzała, uciekając w lewo. I tym razem udaremniłem przestępstwo, pochwyciwszy w porę lufę dubeltówki. Kozy były uratowane. Ale

wówczas stała się rzecz straszna. Pieszłajtis cisnął strzelbę na ziemię i odwrócił się frontem ku mnie, a w jego twarzy zakipiała dzika, pierwotna, niepohamowana wściekłość. Sekunda i jaskiniowiec porwie mnie za gardło, a wówczas gorze temu, kto w sercu tej odwiecznej puszczy okaże się słabszy.

Nie rzucił się jednak. Może go powstrzymała różnica społeczna, jaka istniała między nami. Może mój zimny, wyniosły, karcący wzrok. Któż to potrafi dociec. Dość, że się opanował. Bezczelne, śmiałe, napastliwe spojrzenie dzikiego zwierza cofnęło się wgłąb przymkniętych, małych oczu, jak górski potok wraca po powodzi w swe normalne łożysko, a zuchwała i groźna postać skurczyła się, zmalała i stuszowała. Parobek zdjął czapkę i mruknął ponuro:

— Wasza wola. Ja chłop, a wy pan — tak ja posłucham.

— Jak śmiesz strzelać do cudzej zwierzyny?!

— Zwierzyna Boża — niczyja.

— Coś ty, zwarjował? Rozładuj broń. Wracamy natychmiast do dworu.

Chłop jeszcze raz błysnął nabiegłemi krwią oczyma, jeszcze raz opanował się i spokorniał, wykonując rozkazy. Tylko ponure oczy patrzyły wciąż na mnie zpodełba tak wrogo, że zanim eżektory wyrzuciły naboje, wciąż nie byłem pewny, czy nie padnę trupem tak, jak owe t i g r y nad Amurem.

Wreszcie krytyczna chwila minęła. Poszliśmy w milczeniu z powrotem na c i e c i e r u k i. Ale coś się popsuło między nami i wspólne polowanie stało się psychiczną niemożliwością. Szukałem właśnie pretekstu, żeby go zaprzestać, gdy Pieszłajtis odezwał się:

— Pozwól panicz odwiedzić mojego brata.

— Ja ciebie nie trzymam. A poco?

— Poradzić jemu, jak bronić się w sądzie.

— No to idź. A po rozmowie z bratem spotkasz się ze mną na drodze, na skraju Oszkagiry.

*

Miałem spotkać się z Pieszłajtisem na rogu lasu o godzinie siódmej i stąd razem z nim wracać do domu. Zbliżała się jednak ósma i tarcza słoneczna zawisła już na koronach leśnych sosen, a Pieszłajtisa jak niema, tak niema. Co u djabła — zasłabł stary po całodziennym wysiłku na skwarze, czy co?

Nagle z lasu od strony zachodu wybiegła lekko i zwinnie Onika. W pierwszej chwili nie widziałem dokładnie, co niesie w ręku, taka była cała złocista i promienna w blaskach zachodu. Nawet granatowa, bawełniana spódnica nabrała lekkości i koloru jasnej gazy, gdyż dziewczyna szła pod słońce.

A uda i kolana — toczone, jak smakowite krokiety, które podają na Litwie przy sarniej pieczeni.

Stanęła zdaleka i podniosła w jednej ręce strzelbę, w drugiej jakiś świstek.

Pieszłajtis uciekł ze dworu do brata — zostaje kłusownikiem! Odsyła strzelbę i jakiś list.

Stała teraz w miejscu, jak Djana, a ja się przyglądałem jej, jak..., jak kto? Zaraz, który to z bogów polował na Djanę, gdy Djana polowała w lesie na zwierza? Już zapomniałem całą mitologję, jak i wiele, wiele innych rzeczy w tej chwili.

Zwłaszcza zaś intrygowało mnie to, że Onika miała szczególny kształt nóg. Kolanka prowokująco ściśnięte, a łydki i stopy cokolwiek rozwarte, jakgdyby je ktoś szarpnął i rozerwał.

— Dawaj list! — powiedziałem głuchym głosem, zbliżając się do dziewczyny. Pachniała żywicą i malinami. Siedliśmy na mchu pod lasem i rozwinęliśmy zabrudzoną kartkę, by odcyfrować na niej jakieś gryzmoły.

*

Listu tego nie przeczytałem nigdy i nigdy nie dowiedziałem się, co pisał stary Pieszłajtis, porzucając służbę i wracając do lasu. Wiatr uniósł list w chwili, gdy omdlałe ręce Oniki rozwarły się i oplotły moją szyję.

To był również zew boru. P o p r ó b u j e s z — z a s m a k u j e s z — przypomniały mi się słowa starego kłusownika.

ZDZISŁAW CHRZĄSTOWSKI.

HUMOR MYŚLIWSKI.



— Życzę panu celnego strzału...

CELOWOŚĆ STOSOWANIA OCHRONY OD SZKÓD, WYRZĄDZANYCH PRZEZ ZWIERZYNĘ.

Rozdział czwarty prawa łowieckiego poświęcony jest przepisom „o wynagradzaniu szkód łowieckich i o ochronie od tych szkód". Artykuły 55—69 włącznie zawierają przepisy, dotyczące „wynagradzania szkód, wyrządzanych przez zwierzynę i szkód, czynionych podczas polowań", artykuły zaś 70 — 72 odnoszą się do prawa „odchrony od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę".

Do roztrzygania spraw o wynagradzanie szkód łowieckich ustanowione są sądy rozjemcze (art. 59—69), których członkowie są mianowani osobno dla każdej gminy na lat trzy przez starostę, na wniosek wydziału powiatowego i następnie zaprzysięgani przez starostę według roty, przewidzianej w przepisach obowiązujących dla sędziów.

Z tem wszystkiem jednak powszechnie z praktyki znaną jest rzeczą, że dla obu stron, poszkodowanej i obowiązanej do wynagrodzenia szkody, przepisy o działaniu sądów rozjemczych przewidują postępowanie nader uciążliwe i kłopotliwe, ocena zaś samych szkód niejednokrotnie przedstawia znaczne różnice i rozbieżności, niechętnie przyjmowane tak przez jedną, jak i przez drugą stronę, zwłaszcza że art. 67 postępowania o sądach rozjemczych do spraw o wynagradzanie szkód łowieckich orzeka, iż w razie, jeżeli który z członków sądu odmówi swego podpisu pod orzeczeniem, zapadającem większością głosów (2 kontra 1), wtedy pozostali sędziowie mają uczynić o tem wzmiankę na orzeczeniu, będzie ono jednak miało taką moc, jakgdyby zostało podpisane jenomyślnie przez wszystkich.



O zachodzie nad potokiem. Fot. A. ks. Korybut-Woroniecki.

Odwołanie do sądu okręgowego przysługuje niezadowolonej z orzeczenia stronie tylko w tym wypadku, gdy naruszone zostały przepisy, przewidziane w art. 61—67 o postępowaniu.

W tych warunkach jasnem jest, że zasadniczo w sprawach o wynagrodzenie za szkody, wyrządzone przez zwierzynę, najdogodniejszą formą porozumienia jest zawarcie ugody (art. 59), mogącej mieć miejsce w ciągu trzech dni od zgłoszenia szkody do wójta, który przedewszystkiem obowiązany jest wdrożyć postępowanie ugodowe.

Niestety, ugoda niezawsze bywa możliwą, zwłaszcza gdy strony odnoszą się do sprawy wynagrodzenia szkody, wyrządzonej przez zwierzynę, niewłaściwie, to znaczy jeśli strona poszkodowana usiłuje moment rozrachunku za szkodę wykorzystać, jako okazję do osiągnięcia z y s k u (a nie odszkodowania), lub jeśli strona obowiązana do wynagrodzenia szkody pragnie rzeczywistą szkodę zlekceważyć i zbagatelizować.

To wszystko, cośmy dotychczas rozważyli, każe stwierdzić, że dla uniknięcia jakichkolwiek tarć i różnic zdań przy stosowaniu ugody i orzeczeń sądów rozjemczych, dla zabezpieczenia się przed możliwością niewłaściwego w którymkolwiek kierunku załatwienia sprawy o szkodę, wyrządzoną przez zwierzynę, najdogodniejszem jest wykorzystanie drugiej części prawa łowieckiego w sprawie wynagradzania szkód łowieckich, mianowicie „o ochronie od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę" (art. 70—71).

Przypomnijmy sobie dosłowne brzmienie tych artykułów:

„Art. 70. Każdy może zabezpieczać swe grunty od wdzierania się zwierzyny, czyniącej szkodę w uprawach i plonach rolnych, urządzenia jednak poczynione w tym celu na jego gruncie nie mają służyć do chwytania tej zwierzyny.

W szczególności wolno każdemu odstraszać taką zwierzynę od swoich gruntów straszydłami, ogniami nocnemi i t. p. środkami.

Gdyby wskutek przewidzianej w artykule niniejszym ochrony od szkód zwierzę zraniło się lub zabiło, uprawniony do polowania nie będzie mógł żądać odszkodowania.

Art. 71. U p r a w n i o n y d o p o l o w a n i a m o ż e g r u n t y l e ż ą c e w g r a n i c a c h o b w o d u ł o w i e c k i e g o o c h r a n i a ć o d s z k ó d c z y n i o n y c h p r z e z z w i e r z y n ę, w y m i e n i o n ą w a r t. 5 5, z a p o m o c ą o g r o d z e ń i i n n y c h ś r o d k ó w, j e d n a k w t e n t y l k o s p o s ó b, a ż e b y ś r o d k i t e n i e p r z e s z k a d z a ł y p o s i a d a c z o w i g r u n t ó w w p r o w a d z e n i u g o s p o d a r s t w a".

Nadzwyczaj ważnym jest ten artykuł dla tych właścicieli prawa polowania, na których gruntach mieści się faktyczna ostoja zwierzyny, czyniącej w pewnych okresach roku widoczne szkody w uprawach i płodach rolnych (dziki, jelenie).

Oczywiście trudno mówić w praktyce o ogradzaniu takich ostoi, gdyż rzadko kto może sobie na wielki koszt ogrodzenia pozwolić, zwierzyna zaś, zwłaszcza jelenie, którym w granicach ich ostoi przygotowano dostateczną ilość paszy naturalnej na specjalnie uprawianych poletkach karmowych wewnątrz lasu, lub na odpowiednio obsianych linjach, nie zadowolni się tą karmą i skłonną będzie zawsze do nocnych wędrówek za żerem na okoliczne pola poza granice lasu, narażając właściciela ostoi zwierzyny na obowiązek płacenia odszkodowania.

Pozostaje zatem odstraszanie zwierzyny z miejsc, obranych przez nią podczas takich wędrówek, leżących najczęściej na znanych wekslach, pomiędzy sąsiedniemi kompleksami lasów.

Odstraszanie to musi być stosowane stale podczas tego okresu czasu, kiedy zwierzyna skłonna jest do takich wędrówek, zasadniczo więc mniej więcej od kwietnia do września włącznie.

Odstraszanie to, a właściwie pilnowanie pól, znajdujących się na obieranych przez zwierzynę szlakach takich wędrówek, musi być przeprowadzane przez całe noce, wymaga przeto pewnej ilości stałych stróżów, w zależności od obszaru zagrożonych pól i bliskości od siebie punktów wyjścia zwierzyny z lasu na jej nocne wędrówki żerowe.

Dotychczas operowaliśmy teorją, przejdźmy teraz do konkretnego przykładu i rozważmy jego dobre strony.

Właściciel dóbr Silnica, p. Hieronim Siemieński, delegat powiatowy P. Z. S. Ł. na powiat Radomsko, posiada kompleks leśny o powierzchni 1100 ha

i o granicy długości 5 klm. z wiejskiemi gruntami, należącemi do pięciu wsi. W odległości paru klm. znajdują się lasy dóbr Maluszyn powierzchni około 5000 ha (graniczące z siedmioma wsiami, z których 2 czy trzy są enklawowe), do których wąskim pasem od strony pól wiejskich przylega również las państwowy leśnictwa Łazów, nadleśnictwa Gidle.

Pan Siemieński, posiadając jelenie ostojowe, porozumiał się z właścicielami graniczących gruntów wiejskich pięciu wsi i zawarł z gromadami wiejskiemi umowy, mocą których zainteresowane wsie wyznaczają stałych stróżów do pilnowania nocami od szkód jeleni w okresie czasu, gdy płody rolne mogą być zagrożone, za co uiszcza stałą opłatę, przeciętnie 15 złotych w stosunku miesięcznym na każdego stróża. W zainteresowanych wsiach czynnych jest w tym celu łącznie 12 stróżów.

Na stróżów meldują się najczęściej ochotnicy. Jeśli się zdarzy szkoda pomimo obowiązku pilnowania przez nich, włościanie potrącają danemu stróżowi odszkodowanie z jego wynagrodzenia.

W niektórych wsiach rada gromadzka sama odpowiada za pilnowanie, biorąc wynagrodzenie za to kwartalnie i dzieląc je między kolejno pilnujących, a wyznaczanych przez siebie stróżów.

W każdym wypadku rady gromadzkie podpisują umowy z właścicielem ostoi jeleni, mocą których zrzekają się wszelkich wynagrodzeń za szkody, wyrządzane przez zwierzynę, a więc tem samem dochodzenia ich za pośrednictwem sądów rozjemczych.

Sposób ten stosują również i dobra Maluszyn — oba majątki z całkowitem powodzeniem i bez zatargów.

Występuje w danym wypadku jedna słaba strona sprawy, t. j. że dotychczas takie same umowy nie zostały zawarte z wsiami przez leśnictwo Łazów i wskutek tego zdarzają się jeszcze sprawy, podawane do sądu rozjemczego o szkody, czynione przez jelenie leśnictwa. Ponieważ ustalenie właściwej ostoi danej grupy jeleni napotyka na trudności, bowiem art. 55 prawa łowieckiego mówi, że „jeżeli zwierzyna wyrządzająca szkodę ma przypuszczalnie swoją ostoję w kilku obwodach łowieckich, właściciele (dzierżawcy) tych obwodów odpowiadają solidarnie", przeto niewprowadzenie jednolitego działania przez leśnictwo Łazów z pp. Siemieńskim i hr. Potockim naraża jeszcze i tych ostatnich na ewentualność ponoszenia ciężaru płacenia wynagrodzeń za szkody jeleni.

Niemniej stwierdzić trzeba, że rachunek utrzymywania specjalnych stróżów do pilnowania pól i odstraszania jeleni jest dla właścicieli ostoi jeleni praktycznie wyraźnie korzystny, a najzupełniej zadowalający zainteresowanych właścicieli gruntów wiejskich. Pan Siemieński, odkąd wszedł w opisane porozumienie z okolicznemi wsiami i płaci za pilnowanie, wydaje na ten cel około 800—1000 zł. rocznie, podczas gdy dawniej wypłacane przez niego odszkodowania wynosiły 4—6.000 złotych.

Sprawa nie wymaga bardziej przekonywających argumentów, a praktyczne zastosowanie systemu p. Siemieńskiego dostępne jest dla wszystkich właścicieli ostoi zwierzyny, mogącej wyrządzać znaczniejsze szkody w ziemiopłodach sąsiadów.



Marja z hr. Fredrów hr. Szembekowa nad swym 800-nym rogaczem. (Do art. „Piękny jubileusz myśliwski" — str. 496).

Chodziłoby jeszcze o to, ażeby pomysł ten odpowiednio oceniły władze administracyjne lasów państwowych i — zamiast uczestniczyć w płaceniu znacznie kosztowniejszych odszkodowań — zastosowały w praktyce uprawnienia właścicieli, wyrażone w art. 71 prawa łowieckiego, wprowadzając do budżetu nadleśnictw odpowiednie sumy na stałe koszty, które zawsze będą niższe od ogólnych kwot za odszkodowania.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

HYBRYDY BAŻANTÓW „REVESI" — UPIĘKSZENIEM ŁOWISK.

Jako długoletni hodowca królewskich bażantów i ich hybrydów — jedyny w kraju przed wojną „krzewiciel" tych ptaków, pozwalam sobie w tej sprawie jeszcze raz zabrać głos.

Nie mogę dość gorąco polecić właścicielom bażancich terenów zainstalowania tych zaiste „rajskich" tworów przyrody. Pisałem już na szpaltach „Łowca Polskiego" o tem, ale dobrze będzie, sądzę, przypomnieć tak licznym u nas miłośnikom strzałów do tych barwnych ptaków, jak łatwo jest siebie i swoich gości uraczyć zupełnie nową, można powiedzieć, nieznaną żadnemu ornitologowi, cenną wielce zwierzyną.

Przed wojną „revesi" w stanie odstrzałowym znajdowały się tylko na Węgrzech, w Anglji... i w mojej Wierzchowni (Ukraina). Hybrydy ich — o ile mi wiadomo — nigdzie.

W początkach bieżącego stulecia ja i mój dyrektor bażantarń, p. Maciej Hoinko — zapoczątkowaliśmy, mając już „revesi" na swych terenach, tytułem próby, szereg odpowiednich manipulacyj dla otrzymania krzyżowań. Zamykano jednego koguta „królewskiego" z pięcioma zwykłemi bażancicami. Da się ów zabieg uskutecznić w końcu maja, a nawet w czerwcu. Z jednego takiego kompletu otrzymuje się mniej więcej sto jajek. Prawie wszystkie wylęgłe pisklęta są kogutami. Proces karmienia jest zupełnie analogiczny, jak przy hodowli bażanta łownego.

Próby dalszej rozmnoży hybrydów nie dały w Wierzchowni żadnych wyników. Jajka po podobnych osobnikach, zamkniętych z pięcio-osobowym „haremem" zwykłych kur bażancich, były z reguły, jak zwykle od wszystkich mieszańców, niezapłodnione.

Więc taki hybryd, jak się okazuje, stanowi od pierwszego roku wyłącznie materjał strzelecki.

Śmiało też cały wyprodukowany kontyngent roczny można, a nawet należy, wybić co do nogi, gdyż na przyszłą wiosnę, zamknąwszy znowu jednego „błękitnej krwi arystokratę" z kurami, otrzymamy nową ilość młodych hybrydów.

Stanowi to ogromnie dodatnią stronę takiej hodowli odstrzałowej, bez konieczności oszczędzania tych kogutów.

W Wierzchowni nie obserwowałem, żeby znajdujące się na dziko w niektórych rewirach „revesi" krzyżowały się ze zwykłemi bażancicami. Widocznie tylko warunki niewoli zmuszają koguty tej odmiany *au pis aller* być na wysokości *sex appelu* pięknych pań, tak blisko spokrewnionych. Natomiast do rozpędzania naokół literalnie wszystkich innych kogutów, są mistrzami. Rejon, w którym się osiedlił ów zazdrosny sułtan, można uważać za zniszczony do szczętu i to w bardzo szerokim zasięgu pod względem pobytu na nim normalnych reproduktorów.

Kogut hybryd, jest jeszcze gorszy, a do tego „beznadziejny" dla kontynuacji rodu.

Tembardziej więc poprostu „tępić" je należy w przeciągu pierwszego już sezonu i to dosłownie.

Zrozumiałem jest, że „revesi", a szczególnie ich hybrydy, najlepiej osiedlać na terenach specjalnych, na których niema żadnych „mongołów", „torquatusów" i t. p.



Bliźnięta.

Atoli co się tyczy „mieszańców", ponieważ zgóry są one zasądzone na zagładę w sezonie, można je hodować także i w normalnych bażantarniach, gdyż w zwykłych okresach roku bynajmniej nie odznaczają się wojowniczością ku swym kompanom „proletarjackiego" pochodzenia.

Lotność hybrydów jest pierwszej klasy, ich krzyk przy podrywie zupełnie odmienny od krzyku „revesi", przypomina nieco syrenowe tremola dawnych samochodów — w najwyższym stopniu emocjonujący.

Wytrzymałość na mrozy zupełna.

Nigdy w swoich łowiskach nie widziałem koguta, choćby nawet postrzelonego, z odmrożonemi kończynami. Mięso pod kątem gastronomicznym wyśmienite, delikatniejsze nawet od mięsa bażanta łownego.

Zaopatrzyć się w koguty „revesi" można zawsze w czeskich, austrjackich i francuskich handlach zwierzyną. Wytrzymałość ich na dalekie nawet podróże w należytem opakowaniu jest fenomenalna.

Pewien transport z powodów „formalnych" tydzień cały „bawił" na rosyjskiej przedwojennej komorze celnej w Wołoczyskach i... przybył na miejsce mimo to zdrowiuteńki. Jak się przytem „ubawił", inną jest materją.

Nie sądzę, żeby cena koguta „revesi" była zbyt wygórowaną, zapewne jakieś 50—80 zł. za sztukę. Nabywszy chociażby dwa egzemplarze, już możemy się spodziewać około dwóch setek sztuk do odstrzału w najbliższym sezonie, właśnie podczas późno-jesiennych, a najlepiej zimowych pędzeń, kiedy ptaki są w pełni splendoru wyfarbowania.

Wiosną, ocalałe z polowań sztuki, należy bez pardonu indywidualnie odstrzelić, chociażby dopuściwszy się „crimen" myśliwskiego — na „wyciekającego", lub też wyłapać dla przetrzymania w woljerach.

Czystej krwi koguty w specjalnych rewirach, na uboczu leżących, dla hodowli na dziko, możemy pozostawić. O tem przekonałem się u siebie z kilkoletniej praktyki.

Jako hodowca-praktyk niegdyś, rzucam myśl pod adresem moich współwyznawców tego „kultu", a wiem napewno, że nie pożałują.

Zewnętrzny wygląd tego wspaniałego mieszańca jest niezwykle piękny: o białej prawie głowie, wiśniowym kolorycie daleko większego, niż u zwykłych, ciała, z ogonem coprawda krótszym nieco od „czystego" koguta, u niektórych dosięgajcego długości 70 centymetrów, który służy jako upiększenie nieraz fantastycznych kostjumów przeróżnych „divetek" rewjowych, no i wogóle kapeluszy pięknych pań bywa ozdobą.

Ponadto kiedy z wysokopiennej drągowiny, zwłaszcza błotno-olchowej, które ten ptak tak lubi, poczną na skrzydłach podrywać się barwne koguty, zazwyczaj mało przed naganka wyciekając, przy akompanjamencie swych automobilowych trelów, lśniące w słońcu całą gamą rubinów, dla myśliwego-przyrodnika jest to widok z tysiąca i jednej nocy. Jak w bajce czarownej.

Przez rekordzistę - strzelca tembardziej mile są widziane. Cóż to za rozkosz, gdy ten *oiseau de paradis*, opisując śliczną parabolę, załamuje się w swym locie, jak gwiazda z niebios, spadając u nóg pogromcy, czy uroczej pogromczyni.

Przekonany jestem, że, jeśli który z naszego bractwa hodowców - myśliwych pójdzie za moim apelem i doczeka się „hybrydów" na swych terenach, to w duszy podziękuje „nestorowatemu" koledze z pod zielonych sztandarów.

Nigdy bowiem nie czułem sie tak w roli Pygmaljona, jak natenczas, kiedy odbyło się w Wierzchowni pierwsze polowanie, na którem ubito kilka „revesi" i kilkadziesiąt kogutów „hybrydów".

Nieodżałowanej pamięci Prezes St. Lilpop, jakoteż p. Tadeusz Mostowski z Mostowa, rozkoszowali się ongiś ich zdobyczą. P. Władysław Horodecki, szeroko znany nemrod ukraiński, a malarz artysta, pod czarem całej estetyki tego cudu Bożego, stworzył niemal na poczekaniu przepiękną akwarelę, podobiznę naturalnej wielkości okazu na drzewie, o 60 centymetrowym ogonie. Niestety, arcydzieło to pozostało, jak i wszystko zresztą (oprócz werwy myśliwskiej), w Sowdepji.

Właśnie gatunek ten, jako farbujący „na koguta" już w jesieni roku swego urodzenia, odznacza sie od tylu innych też świetnie ubarwionych swych pobratymców - bażantów złotych, „lady Amhost" i innych — które dopiero w trzecim roku stają się pierzastołownemi, a więc są wykluczone z myśliwskiej hodowli.

A czyż może być dla gospodarza-hodowcy-myśliwego większa radość, jak dostarczenie swym miłym gościom możliwości strzelania do nowej, prawie że egzotycznej zwierzyny. I to bez żadnych wypraw na Ceylon, w dżunglę ekwatorjalną, czy na inne Borneo.

Zaprawdę *le jeu en vaut la chandelle* — szczególnie, kiedy to „świecami" będą zupełnie nowe, żywe promienie, o barwach z paletki największego Rafaela — rzekłbyś — zrodzone, z tajników potęgi wszechstworza pochodzące.

Nie namyślając się długo i po „amerykańsku", najbliższej wiosny spróbujmy nowego hodowlanego doświadczenia.

Jestem pewien, że św. Hubert pobłogosławi temu wysiłkowi.

Więc hodujmy hybrydy revesi, upiększenie polskich łowisk i *par excellence* świetne odstrzałowe ptaki, dla świetnych myśliwych i klasowych mistrzów strzału.

ADAM RZEWUSKI.

SOKOŁY KARŁY.

(Szkic myśliwsko przyrodniczy).

Zwą je powszechnie „myszołówkami", choć właściwie jeden to pustułka wieżowa, drugi pustułeczka. Oba te ptaki, to małe szlachetne sokoły, polujące u nas na myszy i owady. W czasie jesiennych przelotów można też widzieć, zwłaszcza na południowem Podolu, sokoła kobczyka, należącego również do tych sokolich karłów. Wszystkie trzy ptaki zaliczają się, ze względu na typowe dla sokołów cechy przyrodzone, do najprawdziwszych sokołów. Tem jednak różnią się od reszty swych braci, że są bardzo pożyteczne, gdyż tępią myszy i wszelkie szkodliwe owady.

Pustułki i pustułeczki mają zwyczaj, praktykowany także i przez nasze wielkie myszołowy, że zawisają często, jak nieruchomy punkt, nad ziemią i wypatrują na niej bystrym wzrokiem zdobycz, na którą rzucają się później w odpowiedniej chwili. Kobczyki zaś obsiadają gromadnie druty telegraficzne i z nich urządzają swe zwinne wypady w pogoni za owadami.

Gdy nadejdzie jesień i rozpoczną się polowania na kuropatwy oraz inne ptactwo łowne, myśliwi strzelają nietylko do tej zwierzyny, ale także i do pustułek i pustułeczek, wyrządzając tym sposobem rolnikowi i całej przyrodzie największą szkodę. A czynią to raczej z nieświadomości, niż z wrodzonej pasji strzeleckiej. Zdarza się to nawet i n a w i o s n ę, gdy sokoliki te, wróciwszy z południa, rozglądają się za miejscem osiedlenia się na stałe. Niszczy się pożyteczne ptaki, pozostające zresztą pod opieką prawa, tem łatwiej, że tak pustułki jak i pustułeczki, trzepocąc się nieraz nad samą głową, stanowią cel wogóle łatwy.

Na jakie takie usprawiedliwienie tego karygodnego postępowania podają więcej uświadomieni strzelcy, że może nietyle pustułki, ile pustułeczki, przypominają swoim wyglądem sokoła-drzemlika, lub drapieżnego kobuza, do których ostatecznie możnaby strzelić, aby ochronić przed ich szponami małe ptaszki śpiewające i jaskółki. Tymczasem inny sposób latania odróżnia je zasadniczo od pustułeczek.

Zabijanie małych myszołówek kładę w przeważnej mierze na karb nieznajomości naszej awifauny u ogółu myśliwych.

*

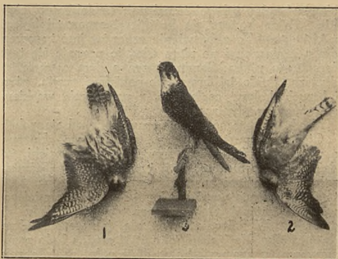
Pustułka wieżowa *(Cerchneis tinnunculus)* jest w wymienionej trójce ptakiem najdorodniejszym. Nosi szatę bardzo rozmaitą, zależnie od wieku, płci i nawet pory roku. Płaszcz ma zazwyczaj ceglastoczerwony, z ciemnemi trójkątnemi plamkami, szyję i brzuch koloru brudno-żółtego, z grubemi, podłużnemi, ciemno-bronzowemi strychami. Dużą głowę i kark okrywają piórka jasno-popielate, z czarnemi drobnemi kreskami wzdłuż stosin. Ogon jest długi, z wierzchu ciemniejszy, od spodu jaśniejszy, kilkakrotnie poprzecznie pręgowany. Ostatnia pręga najszersza i białą obrączką obrzeżona. Wszystkie sterówki są prawie jednakowej długości. U młodych występują po obu bokach dzioba wyraźne wąsy, zanikające u starszych egzemplarzy prawie zupełnie.

Samiec miewa grzbiet bardziej czerwony, a czoło jaśniejsze, u samic przeważa na całem ciele kolor szary.

Oko pustułki jest ciemne, duże, otoczone wydatną mięsną obwódką. Dziób modro-popielaty, z żółtą woskówką, w której widzimy okrągłe, małe otwory nosowe, ukryte w szczeciniastych piórkach. Górna szczeka haczykowato zgięta, żuchwa krótka, o ostrych brzegach. W niej zaznacza się wyraźne wycięcie, w które wchodzi mały ząb górnej szczęki. Skoki posiada wysokie, dość wątłe, upierzone do pięty, okryte następnie brudno-żółtemi tarczkami. Szpony krótkie, ostre, koloru c z a r n e g o. Długość ciała samca wynosi 33 — 35 cm., samicy 37 — 38 cm., długość skrzydła 24 — 27 cm.

Piękny ten okaz zamieszkuje całą niemal Europę. W Polsce gnieździ się także, ale jest ptakiem przelotnym. Przybywa do nas z południa pod koniec marca, a odlatuje zwykle w październiku, niekiedy nawet później, co zależy, rzecz jasna, od wcześniejszej, lub późniejszej zimy. Zdarza się czasami spotkać go i w zimie, gdy jest bardzo łagodna.

Ściele gniazdo na wysokich świerkach, sosnach i dębach, tuż pod wierzchołkiem, w starych ruinach, zagłębieniach skalnych i na wieżach kościelnych. Samica znosi z końcem maja cztery do pięciu jaj, które wysiaduje troskliwie przez 21 dni. Młode odznaczają się dłużemi głowami i są okryte brudnobiałym puchem. Po kilku tygodniach intensywnego żywienia myszami i owadami wylatują z gniazda, by towarzyszyć rodzicom na pobliskie pola. Na nocleg wracają do lasu.



1. Pustułeczka (młody samiec); 2. pustułeczka (stara samica); 3. sokół-kobuz *(Falco subbuteo L.)*.

Lot mają powolny i miarowy, bo w życiu ich nie zachodzi potrzeba gwałtownego natężania lotek. Głównem pożywieniem pustułki wieżowej są myszy, jaszczurki, padalce i przeróżne owady, zwłaszcza błonkoskrzydłe. Wydarza się jednak niekiedy na wiosnę, lub w późnej jesieni, gdy np. nagle spadnie śnieg i mróz pociśnie, że pustułki, zniewolone głodem, porywają wróble, a wiosną jaskółki, ale takie wypadki są prawie odosobnione i nie zmniejszają ogromnej użyteczności tego ptaka, a tem samem nie uprawniają nikogo do ich tępienia.

Jeszcze jedna ciekawa dla pustułki cecha: oswajają się one bardzo łatwo.

Przed wojną światową chowałem w klatce cztery młode pustułki, karmiąc je myszami. Tak się oswoiły, że brały z rąk pożywienie. Biły się przytem ze sobą o każdy kąsek, trzęsły skrzydełkami i piszczały. Dobrze wyrośnięte i już lotne wypuściłem na wolność. Nie odleciały w pola, lecz krążyły przez kilka tygodni nad moim domem, siadały na noc na dachu, a rankiem towarzyszyły mi na przechadzkach. I wtedy jeszcze zajadały z apetytem podawane im przezemnie na wyciągniętej dłoni myszki. Z nastaniem wczesnej i dość ostrej naonczas zimy odleciały na zawsze...

Pustułki nie okazują wogóle wielkiej płochliwości, nie ulatują przed człowiekiem i dlatego łatwo je podejść, szczególnie wtedy, gdy siedzą na roli, zajęte rozszarpywaniem polnych szkodników. Spłoszone

wznoszą się ostatecznie w powietrze, trzymając w szponach łup ze zwisającym ogonkiem. Strzelanie do tych ptaków trzeba uważać za bezmyślne przestępstwo łowieckie.

*

Pustułeczka *(Erythropus cenchris, Cerchneis naumannii)* jest nieco mniejsza od pustułki i, jeżeli chodzi o nasz kraj, bywa o wiele rzadziej niż tamta spotykana.

Długość ciała, licząc od nasady dzioba do końca ogona, mierzy u starej sztuki samca od 30 — 32 cm., samicy 34 — 35 cm., rozpiętość w rozskrzydlu 56 cm., długość ogona 13 cm. U samca są: głowa, lotki, barkówki, cały płaszcz i ogon z wierzchu ciemno-popielate. Chorągiewki u lotek gęsto od spodu pręgowane. Ogon z wierzchu ciemniejszy, spodem jaśniejszy, lśniący, ośmioma ciemniejszemi pręgami znaczony. Każda sterówka na końcu jest biało obrzeżona. Policzki pustułeczka ma białe z nieznacznym ciemnym wąsem, podgardle, pierś i brzuch brudnobiałe, względnie żółte, z gęstemi podłużnemi strychami. Głowa duża, czoło jasne, oczy ciemne, załzawione, obwiedzione mięsną obwódką. Dziób mały zakrzywiony, ostry, u nasady rogowo-żółty, na końcu ciemniejszy. Woskówka żółta, otwory nosowe okrągłe. Nogi upierzone do połowy skoku, niżej okryte brudno-żółtemi tarczkami; są delikatne, cienkie. Palce kończą się krótkiemi szponami koloru żółtego. To zabarwienie szponów jest typowem dla pustułeczek i po niem właśnie poznaje się tego foremnego ptaka. Samica bywa o dwa centymetry dłuższa. Czoło jej bronzowo-popielate, szyja, pierś i brzuch koloru ceglastego, z rzadkiemi, wąskiemi strychami na stosinach.

Młode zawsze są ciemniej znaczone od starych.

Ojczyzną pustułeczki jest południowa Europa, a więc: płw. Bałkański, Apeniński i Pirenejski, tudzież stepy centralnej Azji i półn. Afryka. Stamtąd zalatuje z nastaniem jesieni daleko na północ. Jeśli ta daleka droga wypadnie na wiosnę, to w miejscowości, w której ptak się zatrzymał, niekiedy się gnieździ. W Polsce również, ale, jak wspomniałem, dość rzadko. Na jesieni roku 1934 można było zaobserwować u nas wyjątkowo duży nalot pustułeczek.

Żywi się owadami, szczególnie szarańczą, konikami polnemi i świerszczami. Myszy, jaszczurki, a rzadziej małe ptaszki, łowi także. Poluje na zdobycz, unosząc się długo nad jednym punktem nad ziemią. Gdy zauważy łup, opuszcza się szybko w dół i siada, podnosząc przytem w sposób zabawny ogon. Gdy mysz lub owad schowają się, wzlatuje znowu i znowu trzepoce skrzydełkami w innem już miejscu i szuka do skutku. Po spożyciu zdobyczy godzinami siedzi na grudzie w zamyśleniu, nieruchoma, odęta. Myśliwemu towarzyszy dość często i przypatruje się z powietrza może nietyle jemu, ile pracującemu przed nim psu, nad którym co moment na chwilę zawisa. Miły widok sprawia swem zachowaniem się, swym lotem, łowieniem brzęczących owadów, które chwyta w szpony i podaje je sobie zaraz do dzioba, ciekawą przybierając wtedy pozycję.

Ponieważ jest zdaleka podobna z wąsów, jaśniejszych policzków i ciemnego płaszcza do sokoła drzemlika *), dlatego często ranią ją śruty. Ogromna atoli różnica w sposobie latania i wybitna ufność do ludzi powinny ją chronić, gdy tymczasem drzemlik unika człowieka, w locie porusza się błyskawicznie, ruchem szczupakowatym, szybuje nad samą ziemią, nie zawisając nigdy nad polem. Zresztą niema go u nas w lecie. W swojej ojczyźnie cieszą się pustułeczki najpełniejszą ochroną, a poniekąd i czcią z powodu swej pilności w tępieniu szarańczy.

U nas spotyka je, niestety, los godny pożałowania.

*

W okolicach Borszczowa i Zaleszczyk, a zapewne i w innych powiatach ciepłego Podola, pojawia się trzeci przedstawiciel rodziny sokołów-karłów. Jest nim owadożerny sokół kobczyk *(Cerchneis vespertinus, Erythropus vespertinus).* Mniejszy od pustułeczki (30 — 33 cm.), cały ciemno-popielaty, z rudawym odcieniem. Upierzenie jest niemal jednolite, z wyjątkiem jaśniejszego nieco podgardla. Charakterystyczne są dla niego: woskówka, obwódki dokoła oczu, i nogi koloru pomarańczowego, względnie jasno-ceglastego. Na jego ogonie, jaśniejszym od spodu, policzyć można 12 nikłych prążków czarnych z ostatnim najszerszym. Głowę ma nieco jaśniejszą. Z obu stron policzków widać niewyraźne wąsy. Oko duże, łzawe, o ciemno-brunatnej tęczówce, otoczone mięsną obwódką. Szpony jasne.

Gnieździ się na południu Europy, zazwyczaj w lasach, w których zajmuje wygodne dla siebie dziuple drzew. Młode podobne są do samicy.

Z końcem września kobczyki urządzają peregrynacje na północ, poza średni i dolny bieg Dniestru. Czy docierają poza 50° półn. szer. geogr., nigdy nie udało mi się stwierdzić.

Ptak ten jest towarzyski. W początkach października zbiera się w gromady, liczące po 20 i więcej sztuk; obsiadają one z widocznem zamiłowaniem i zadowoleniem przydrożne druty telegraficzne, czyniąc to najchętniej wieczorem, przez zachodem słońca. Gdy jedne, snać nasycone, siedzą tam nieruchomo i spoczywają, trawiąc pokarm, inne uwijają się jeszcze długo, aż do zmroku w przestworzu i zręcznie chwytają unoszące się owady, zwłaszcza ważki.

Gdy się zetkną w czasie odlotu z pustułeczkami, przyłączają się do nich i w ich towarzystwie dążą na dalekie południe.

WŁADYSŁAW GÜRTLER.

*) Porównaj artykuł o drzemliku w „Łowcu Polskim" Nr. 46 z r. 1930 stronica 946. *(Przyp. aut.).*



WOLNA TRYBUNA.

W SPRAWIE CZASU ODSTRZAŁU NIEDŹWIEDZI.

W „Łowcu Polskim" Nr. 21 (935), na str. 413, wyczytałem w uchwałach Sekcji Ochrony Niedźwiedzia, w p. 4 — uznanie „za wskazane ustalenie dla odstrzału niedźwiedzi w Karpatach Wschodnich czasu od 11 września, t. j. od czasu rozpoczęcia rykowiska jeleni, do końca listopada".

Otóż o ile prawie wszystkie inne wskazania odnośnie do tezy niedźwiedziej, które były na powyższem posiedzeniu uchwalone, uważam w pełni za uzasadnione, o tyle co do powyższego punktu mam poważne zastrzeżenia, a długoletnia praktyka myśliwska w Karpatach Wschodnich każe mi zgłosić je osobno, z prośbą o umieszczenie w „Łowcu Polskim", bo widocznie nie zwróciły na siebie uwagi odnośne tezy, umieszczone przy końcu mej broszury o naszym niedźwiedziu.



Do art. „Ślepa łosza" na str. 497.

Wyżej przytoczony termin odstrzału od 11 września — jest bezwzględnie pójściem na rękę amatorom-strzelcom jeleniego rykowiska, aby przy tej okazji uszczknąć jeszcze i niedźwiedzia! O ile jednak jest do zrozumienia podjęcie w tym okresie cichym strzałem np. pełnowartościowego jarząbka, o tyle ubicie niedźwiedzia we wrześniu, nie z konieczności, uważam za niegodne myśliwego gór.

Uzasadnienie jasne. Skoro opinja naukowa przyrodników europejskich jednogłośnie potępiła odstrzał rykowiskowego byka-stadnika — mimo, że ten przynosi myśliwemu pełnowartościowe poroże — jako sprzeciwiający się zasadom hodowlanym, — to co przemaw… za położeniem wrześniowego niedźwiedzia, na malinach? Skóra letnia jest bezwartościowa... chyba tylko zrobienie grubej kreski w sztambuchu łowieckim, w rubryce „n i e d ź w i e d ź"! Na to szkoda naszego najtęższego reprezentanta prafauny w Karpatach, bo tak liczne nie są jeszcze po wojnie.

Tem samem otwarcie odstrzału niedźwiedzia we wrześniu uważam za podwójnie szkodliwe—jako zachęta do rykowiskowych polowań na jelenie i jako sankcjonowanie ustawą bezmyślnego obniżania stanu cennego w innej porze zwierza, niedźwiedzia.

Wzamian za skrócenie w jesieni omawianego odstrzału, byłoby wskazane pod względem możliwości zdobycia najcenniejszego futra dopuszczenie w Karpatach strzału do niedźwiedzia przez marzec, do połowy kwietnia, t. j. dopóki mroźne noce sprawiają, że futro to swój włos zimowy trzyma. O strzale niedźwiedzia w gawrze, niema mowy w zasadzie, bo gawra, dokąd istnieją warunki kniei pierwotnej, jest niesłychanie trudną do odnalezienia.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

W odpowiedzi na zastrzeżenia p. Burzyńskiego pozwalam sobie nadmienić że Sekcja Ochrony Niedźwiedzia przyjęła w całości terminy odstrzału niedźwiedzi, ustalone przez Komisję P. Z. S. Ł., nowelizującą ustawę łowiecką, w której to Komisji brali czynny udział przedstawiciele Małopolskiego T-wa Łowieckiego. Osobiście mnie ten termin, zbiegający się z początkiem rykowiska jeleni w górach, wydaje się usprawiedliwiony tem, że, po odrzuceniu polowania na niedźwiedzie w gawrze i przy padlinie, strzał do niedźwiedzia może mieć miejsce tylko przy spotkaniu przypadkowem, gdyż o polowaniu w górach z naganką mowy być nie może. A w tym stanie rzeczy trudno jest odmówić myśliwemu prawa strzału do spotkanego niedźwiedzia w tym jedynym czasie, kiedy zjeżdża on w góry na okres rykowiska. Wartość futra gra tu rolę minimalną, gdyż myśliwy-amator futra nie sprzeda, a dla trofeum ma znaczenie nie gęstość włosia, lecz wymiar skóry oraz potęga głowy i łap.

J. GIEYSZTOR.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DO PP. DELEGATÓW POWIATOWYCH P. Z. S. Ł.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich przypomina P. P. Delegatom Powiatowym Związku, że jednym z najważniejszych ich obowiązków regulaminowych jest składanie Wydziałowi Wykonawczemu rocznych sprawozdań z ich działalności.

Dotychczas obowiązku tego dopełnili nie wszyscy P. P. Delegaci, z wielu więc powiatów brak jest danych, dotyczących zarówno działalności Delegatów Związku, jak i stanu zwierzyny oraz gospodarki łowieckiej.

P. P. Delegaci, którzy dotąd nie złożyli sprawozdań, zechcą nadesłać je w możliwie najkrótszym terminie.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na trzeci kwartał b. r., lub na miesiąc wrzesień.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

Piękny Jubileusz Myśliwski.

Zamieszczona na str. 491 niniejszego numeru fotografja, przedstawiająca p. Marję z hr. Fredrów hr. Szembekową z Wesołej (p. Siemianice) pow. Kępno w woj. Poznań, a użyczona nam łaskawie przez właścicielkę, stanowi ilustrację rzadko spotykanego zamiłowania i wytrwałości w pasji myśliwskiej.

Z treści nadesłanego nam przez hr. Szembekową listu dowiadujemy się, że rogacz, przy którym robione są zdjęcia, jest osiemsetnym, ubitym przez Wielce Szanowną Siostrę z pod sztandaru Hubertowego bractwa.

Jubileuszowy ten rogacz padł z Jej ręki w bieżącym roku, t. j. w pięćdziesiątym pierwszym od chwili zdobycia pierwszego złomu przy pierwszym położonym rogaczu. Natomiast złoty jubileusz czasu, poświęconego myślistwu, przypadł już w roku ubiegłym 1934.

Pięćdziesiąt lat!... Jest to wielki szmat czasu, ale i odpowiednio liczne musiał przynieść trofea i sukcesy, skoro samych parostków rogaczy przypadało w przeciętnej cyfrze po 16 sztuk rocznie. Nadto nader ważnym jest tutaj szczegół, że wszystkie rogacze hr. Szembekowej ubite zostały w siemianickich lasach, których właścicielka, jak widać, musiała otaczać zamieszkującą je zwierzynę niezwykle troskliwą opieką i prawdziwą miłością zamiłowanego hodowcy, skoro tereny te mogły wydać tak znaczne owoce łowieckie, niewątpliwie i pod względem jakości trofeów dające chlubne świadectwo o racjonalnem prowadzeniu hodowli.

Zaiste, niewiele zapewne posiadamy w Polsce myśliwych, którzyby mogli poszczycić się tak piękną kartą z historji swego życia myśliwskiego.

Szanownej Jubilatce na polu rodzimego łowiectwa pozwalamy sobie przesłać tą drogą najserdeczniejsze powinszowania i życzenia jak najznaczniejszego podwyższenia już osiągniętego rekordu pod względem hodowlanym i myśliwskim.

WŁ. Z.

Z kamerą przy gnieździe bociana.

Na suchej gruszy, samotnie stojącej przy skraju lasu, ma pielesze swoje bocian biały. Ptak wszystkim naogół znany, bo któżby nie znał bociana! Nawet dzieciaki wiejskie już na widok jego sylwetki, ukazującej się wiosną na błękitnym firmamencie, pełne wesołości wołają i wołają: „bocianie - tata, przynieś mi brata; bocianie ostry..."

Jednakże tajniki życia tak doskonale przez ogół znanego bociana mimo wszystko posiadają wiele jeszcze ciekawych momentów, czekających cierpliwie na światło dzienne. Zwłaszcza w ostatnich latach wmawia się bocianom w poważnym stopniu szkodliwość łowiecką — to właśnie skłoniło mnie do zajęcia miejsca z kamerą, wyposażoną w teleobjektyw, przy gnieździe bociana.

Gdy w dniu 1 czerwca b. r. po raz pierwszy przygotowałem w schronie lustro i objektyw, nigdy nie spodziewałem się, że tak bardzo ciekawych pod względem naukowym obserwacyj tu się doczekam. Ze względu na szczupłe ramy niniejszych uwag, nie mogę się podzielić szczegółowiej wszystkiemi mojemi obserwacjami, lecz podam w streszczeniu tylko niektóre.

28 czerwca, w ciągu całego dnia przyniosły stare do gniazda 7 kretów i 4 żaby.

30 czerwca, o godz. 12 przyniósł samiec żywego zaskrońca, którego głowę trzymał w dziobie; wąż owinął się resztą ciała wokoło szyi. W gnieździe tak długo trzymał węża za głowę i dusił, aż tenże oniеprzytomniał i został przez młodego całkowicie skonsumowany, co sprawiło mu wiele trudu i zabiegów. Tego samego dnia o godz. 17 przyniósł jeszcze dwie żaby i kreta.

7 lipca, o godz. 10 przyniósł półfuntową rybę; nie mogłem jednakowoż stwierdzić, jaka to była ryba. O godz. 13,30 — 3 żaby i 3 krety, które również zostały skonsumowane natychmiast. O godz. 18 samica przyniosła większą ilość owadów.

14 lipca, o godz. 9 przyniósł samiec jakieś małe pisklę, mogło to być najprawdopodobniej pisklę bażanta wzgl. kuropatwy. Nie jest to niestety na kliszy widoczne.

Zadziwiającą wprost jest konsumcja młodego pod względem ilościowym. Nigdy nie przypuszczałbym, że ptaszyna młoda tak żarłoczną być może. Znoszony przez stare pokarm składa się przeważnie z żab i kretów. Może uda mi się uchwycić na kliszę jeszcze coś, co myśliwych zainteresuje, a wówczas zdjęciem podzielę się z czytelnikami „Łowca Polskiego".

ANTONI WIŚNIEWSKI.

Sprawozdanie z Zawodów w Berlinie

w strzelaniu do rzutków w dniach 9, 10 i 11 sierpnia 1935 r.

Na ostatnich zawodach w Berlinie, na których strzelano do rzutków o mistrzostwa Berlina, Brandenburgji i Niemiec, nie byliśmy siłą „przygniatającą", ale zachowaliśmy przyzwoite miejsce i przekonaliśmy się, że możemy z powodzeniem walczyć o lepsze z zagranicą.

Strzelano po 100 rzutków dziennie, przyczem dla mistrzostwa Niemiec brano pod uwagę wynik dwóch dni. Na przyszłoroczne mistrzostwo świata będzie liczony wynik z 3 dni.

Reprezentacja nasza popełniła zasadniczy błąd, którego należy bezwarunkowo uniknąć na przyszłość: nie miała czasu odbyć parodniowego treningu i zaznajomić się z nowem otoczeniem. Na to nie wystarcza dzień próbnego strzelania w natłoku strzelających, kiedy nie ma się możności powtarzać poszczególnych rzutów i ćwiczyć najtrudniejszych kierunków. Powtarzam: był to błąd, którego nam nie wolno powtórzyć na przyszłorocznych zawodach olimpijskich o mistrzostwo świata, które będzie rozgrywane w końcu lipca 1936 r. i na które już jesteśmy zaproszeni.

Zespół nasz był przyjmowany z wyróżniającą kurtuazją Jako szef ekipy, posłałem w jej imieniu po wyjeździe listowne podziękowania Niemieckiemu Kartelowi i bar. Keyserlingk'owi osobiście.

Muszę jeszcze raz stwierdzić, że zawody były prowadzone wzorowo. Sędziowanie stało na właściwym poziomie i było zupełnie bezstronne. Strzelano na dwóch równoległych standach, z których każdy zaopatrzony był w 15 maszyn, naprzemian to na jednym, to na drugim. Użyto maszyn firmy Grell et Comp. Haynau ze specjalnemi łapkami i sprężynami.

Rzuty wynosiły do 80 metrów. Różnorodność rzutów wielka. Szczególnie utrudniały strzelanie różnice szybkości lotu, naprzykład jedna maszyna ciskała talerzyk na 40 m., a druga zaraz następnie na 80 metrów w tymże kierunku. Dawano mało kierunków niskich, raczej wysokie i półwysokie, które były przy szybkich rzutkach specjalnie trudne. Rzutki puszczano z maszyn według specjalnego klucza, który, nawiasem mówiąc, dostaniemy w oryginale, a dzięki któremu każdy zawodnik otrzymuje w serji 50 identycznie te same maszyny, tylko z inną kolejnością. Pomimo bardzo silnego naciągu sprężyn, rzutki prawie nie pękały. Używano rzutków firmy „Blitz" z wkładką bibułkowej czerwonej chorągiewki (tak zwane Jagdtauben lub Montetauben), które są niewątpliwym postępem. Mają one dużo uroku dla widzów i ułatwiają sędziowanie. Zwykły talerzyk kosztuje w handlu 4 fenigi, a taki z chorągiewką 5 fenigów. Reprezentację i patenty na ten wynalazek posiada Horst Goeldel (Berlin—Grunewald, Franzensbaderstr. 1, Tel. H9 1188), któryby naturalnie chętnie ustąpił licencji na Polskę, dostarczył maszyn, ewentualnie majstra i t. d.

Należałoby zwrócić uwagę, kogo należy, że niemieckie władze wojskowe obstalowały na 1936 rok 12 miljonów sztuk rzutków, gdyż szerokie zastosowanie strzelania do talerzyków przewidziano w szkoleniu nietylko formacyj lotniczych, ale i innych. To samo dotyczy Włochów. Mają oni obecnie już 700 standów i około 5.000 strzelców. Prezesem ich jest p. Stachini, prezes F.I.T. a V.

A propos Włochów — spotkałem się z ostrą krytyką maszyn włoskich. Dają one zbyt małą różnorodność, gdyż zawsze tę samą szybkość i tylko kilka zasadniczych kierunków, które łatwo przewidzieć.

ST. ROSENWERTH.

Z zagranicznej literatury łowieckiej.

Ruchliwa berlińska firma wydawnicza Paul Parey ogłosiła świeżo dwie prace z zakresu hodowli zwierzyny płowej, które powinny zainteresować naszych hodowców i myśliwych. Autorem pierwszej broszury p. t. „*Hegeabschuss des Rehwildes*" jest M. Krahmer. Opierając się na teorji dziedziczności i zdolności rodziców przekazywania swych cech potomstwu, autor radzi używać w hodowli sarn odstrzału, jako głównego środka selekcji i takiego doboru rodziców, któryby dawał największej szans otrzymania potomstwa o dobrej budowie i pięknem porożu. Obszerny materjał badawczy, zgromadzony przez W. Biegera, wskazuje, iż wśród kozłów sarnich w wieku do lat 1½, było: 5% bez śladu poroża, 60% szpiczaków, 20% widłaków i 15% szostaków. Otóż, zdaniem autora, tylko dwie ostatnie kategorje kozłów, a z pośród szpiczaków tylko osobniki posiadające dłuższe i mocne parostki, zasługują na zachowanie, pozostałe — jako nierokujące nadziei — powinny być odstrzelone.

Powtórny odstrzał selekcyjny powinien nastąpić po osiągnięciu przez kozła wieku 8—10 lat i po stwierdzeniu wadliwości w budowie ciała lub poroża, albo w zdolności rozrodczej. Co się tyczy sarn-kóz, to tutaj odstrzał musi mieć na celu utrzymanie stosunku płci, jak 1 : 1. Nadmierna ilość kóz jest niepożądana z rozmaitych względów: aby młode kozły przez zbyt częste parzenie się nie doznawały szwanku w rozwoju fizycznym, aby do zapładniania dochodziły przedewszystkiem wyrośnięte i mocne kozły, aby wreszcie kozy były pokryte jak najwcześniej. Przy odstrzale kóz kierować się należy ich stanem fizycznym, a więc strzelać przedewszystkiem kozy chore, słabe, jałowe oraz koźlęta płci żeńskiej. Natomiast kozy stare, nawet ze śladami rogów, należy szanować, gdyż są one najlepszemi matkami.

Autorem drugiej broszury p. t. *Anleitung zur Alterschatzung des Wildes*" jest W. Bieger. Pracę swoją autor poprzedza zestawieniem metod, dotąd stosowanych dla określenia wieku rozmaitej zwierzyny łownej. Z zestawienia tego wynika, iż systematycznie zaczęto poszukiwać sposobów określenia wieku zwierzyny b. niedawno. Najwcześniej, bo lat 50 temu, ukazały się studja nad zagadnieniem wieku sarn i jeleni, 20 lat dzieli nas od pierwszej pracy, dotyczącej wieku kozic, a zaledwie 10 — od określenia wieku muflonów i dzików. Z początku zadowalniano się badaniem rozwoju uzębienia, co trwa u zwierzyny płowej do 2½ lat, potem w 20 lat później zaczęto zwracać uwagę na zużycie zębów, ale ograniczano się do badania szczęki górnej, dopiero zaś ostatnio przyjęto za podstawę uzębienie szczęki dolnej, ale znów ograniczono się jedynie na zębach trzonowych. Autor idzie dalej i u zwierzyny płowej poddaje badaniu tak zęby trzonowe, jak i siekacze, a nadto uwzględnia zmiany w kącie odchylenia siekaczy. W całym szeregu zdjęć fotograficznych autor obrazuje zmiany w uzębieniu jeleni, danieli i sarn oraz zmiany w budowie haków kozic i rogów muflonów, ułatwiając przez to znakomicie osiągnięcie wprawy określania wieku dzików na podstawie budowy i wymiarów szabel i fajek oraz głuszców na podstawie budowy dziobów i kształtu lotek. I tu liczne ilustracje potwierdzają wnioski teoretyczne. W zakończeniu W. Bieger, powołując się na autorytety pisarzy łowieckich, określa w ten sposób długość życia rozmaitych zwierząt łownych: jeleń — 20—30 lat, daniel — 20—30 lat, sarna — 12—18 lat, kozica — 20—25 lat, muflon — 15—20 lat, koziorożec około 30 lat, łoś — 20 lat, żbik — 10 lat, lis — 12—15 lat, wilk — 12—15 lat, świstak — 14 lat, zając — 7—8 lat, królik — 5—7 lat, wiewiórka — 10—12 lat, kuna — 15—20 lat, orzeł — 60—80 lat, czapla — do 60 lat, sowa — do 50 lat, gołąb — do 30 lat, kura — 20 lat.

J. G.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

WILD UND HUND.

Nr. 24/1935, str. 405. F. Putz: „*Hodowla jarząbków*". Wobec zauważonego powszechnie zmniejszenia się ilostanu jarząbków nasuwa się pytanie, czy nie dałoby się osiedlić ich w nowych miejscach, wprowadzając niejako hodowlę jarząbków. Autor jest zdania, że jest to zadanie do osiągnięcia, ale dla otrzymania wyników pomyślnych należy przedewszystkiem zapewnić jarząbkom takie warunki bytowania, brak których spowodował właśnie ich wyniszczenie. Do przyczyn, powodujących zanik jarząbków, zalicza autor: zastąpienie normalnych lasów o mięszanym drzewostanie przez sadzone jednolicie sosnowe czy świerkowe lasy, niszczenie „chwastu leśnego" czyli podszycia i zezwolenie na zbieranie chróstu i podściółki, tworzenie z lasów dla celów spekulacyjnych „osiedli-ogrodów", zezwolenie na korzystanie z lasów wycieczkowiczom „week-end'owym", obozom „campingowym" i t. p. Bez radykalnej zmiany tych stosunków, bez ponownego wprowadzenia drzewostanu mięszanego z gęstem podszyciem i z rozmaitością jagód leśnych, bez radykalnego zamknięcia lasów dla gości z miast i dla miejscowych zbieraczy chróstu i ściółki — nie warto przystępować do wprowadzania jarząbków, a przeciwnie liczyć się należy z całkowitym ich zanikiem *).

Nr. 24/1935, str. 407. Dr. U. Schulz: „*Z rui łosi i danieli*". Autor zdaje sprawę z wyprawy filmowej berlińskiej „Ufy" dla zdjęć z okresu rui łosi i danieli. Łosie filmowano w ciągu sierpnia i września r. ub. na mierzei Kurońskiej. Dzięki dużemu oswojeniu zwierząt z ludźmi i dobremu ukryciu aparatów udało się niektóre zdjęcia wykonać z odległości 50 m. Uchwycono na aparat zarówno filmowy, jak i dźwiękowy, cały szereg zdjęć z całego okresu rykowiska. Daniele filmowano w październiku w Uskermark. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uwieczniono na taśmie cały przebieg walki dwóch rywali - łopataczy. Film ten będzie wyświetlany w r. b.

J. G.

Ślepa łosza.

Do powiatu Luboml, zawędrowała łosza. Jakkolwiek zdarzają się wypadki niewytłomaczonych nieraz, a bardzo odległych wędrówek pojedyńczych łosi, w danym wypadku mamy do czynienia z rzadkim objawem zupełnej ślepoty zwierzęcia, która najprawdopodobniej stała się pośrednią przyczyną ryzykownej wędrówki daleko poza rodzimą ostoję.

W dniu 8 sierpnia b. r. jeden z miejscowych gospodarzy, niejaki Zabrodocki, znajdując się o 7-ej rano na swej łące, położonej w uroczysku Semerejewo w odległości 1 klm. od państwowego lasu, za jeziorem Dołgie, zauważył chodzącego łosia. Zastanowiło obserwatora to mianowicie, że zwierzę chodziło przeważnie ciągle w kółko. Domyślając się kalectwa ślepoty, Zabrodocki począł się zbliżać do łoszy, pragnąc stwierdzić swoje przypuszczenie. Podchodzącego człowieka zwierzę zwietrzyło i poczęło uciekać. Podczas ucieczki klempa trafiła w dość duże topielisko, gdzie ugrzęzła, zanurzając się aż do głowy.

Zaskoczony tym wypadkiem włościanin posłał konno swego chłopca do pobliskiej gajówki z wiadomością. Wkrótce przybył gajowy lasów państwowych, Frejlich, przez ten czas jednak łosza zdołała wydobyć się z trzęsawiska i schroniła się w dużej kępie łóz. Tam schwytano ją na arkan i przeprowadzono na suche miejsce.

Zawiadomieni o fakcie pojmania klempy, przybyli nadleśniczy l. p. Rajca i leśniczy Goworowski. Po oględzinach zwierzęcia, wobec zapadającego już wieczoru, arkan przywiązano do słupa i postawiono w pobliżu zwierzęcia wartę.

W dniu 9 sierpnia łoszę przeprowadzono do wsi Szacka i umieszczono ją w ogrodzie nadleśnictwa, poczem telefonicznie zawiadomiono starostę, który natychmiast przybył wraz z lekarzem weterynarji.

Po dokładnem zbadaniu zwierzęcia lekarz orzekł, że zachodzi przypadek całkowitej ślepoty obu oczu i że kalectwo to trwa od dłuższego już czasu. Przyczyny ślepoty nie ustalono.

Ponieważ zwierzę, najwidoczniej przemęczone i zalękłe, nie chciało przyjmować podawanych pokarmów ani wody, zamieszkały w Szacku p. Franciszek Twerd, delegat powiato-

*) Niemiecki autor F. Putz ma wiele racji, wyszczególniając nieodzowne warunki, mające towarzyszyć zamierzeniom zaprowadzenia hodowli jarząbków, nie wspomina jednak o najważniejszych bodaj — oczyszczeniu przeznaczonego na taką hodowlę terenu z drapieżników (jeśli je tam mocniej zgromadziła inna zwierzyna hodowlana okolicy), a także stałego normowania ich przyszłej obecności w rewirze. Zanik jarząbków w wielu kresowych łowiskach, będących odwiecznemi ostojami jarząbków, w przeważającej mierze (vide „Wynik ankiety o jarząbku", „Ł. P." Nr. 21/1934) wywołany został lekceważeniem rozmnoży drapieżników. *(Przyp. red.)*.

wy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, zarządził polewanie wodą pyska, gdy łosza położyła się bokiem na ziemi. Sposób ten okazał się skutecznym, bowiem wówczas zwierzę zaczęło wodę połykać. W ten sam sposób podawano jej świeżą koniczynę, którą łosza również chętnie jadła, lecz w minimalnej ilości.

Starosta zarządził pozostawienie łoszy w spokoju do dnia następnego, projektując po porozumieniu z wojewodą odesłać zwierzę do Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego.

Niestety, zamiaru nie wykonano, bowiem łosza tej samej nocy padła. Oryginalnym jest fakt, że mimo kalectwa ślepoty, które, według zdania lekarza weterynarji, musiało trwać dłużej, niż rok, klempa ta żyła, dobrze wyglądała i dość długo unikała spotkań z ludźmi.

Schwytanie łoszy miało miejsce na terenach, dzierżawionych przez miejscowe Kółko myśliwskie.

Z padłego zwierzęcia zdjęto skórę, która zostanie sprzedaną z przetargu. Nie wiemy tylko nic, czy zarządzono sekcję, ażeby ustalić przyczynę śmierci i czy ustalono w przybliżeniu wiek zwierzęcia.

WUZET.

POKAZ I KONKURS PSÓW MYŚLIWSKICH NA POMORZU.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie (Toruń, Sienkiewicza 12) od początku swojego istnienia zwraca szczególną uwagę na hodowlę i tresurę psa myśliwskiego. Towarzystwo, organizując lub współdziałając przy urządzaniu ostatnich konkursów wyżłów na Pomorzu, doszło do przekonania, że konieczną jest dla dobra sprawy dalsza wytrwała praca w tej dziedzinie.

W dniach 11 i 12 września 1935 r. organizuje Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Klosnowie, pow. Chojnice, pokaz i konkurs wyżłów. Starając się udostępnić udział psom, wykazującym nawet bardzo wielkie braki w tresurze, ustalono, że osobną częścią konkursu będzie pokaz psów, które ocenione będą, celem selekcji hodowlanej, przedewszystkiem z wyglądu zewnętrznego.

Psy będą mogły wziąć również udział w konkursie, obejmującym wszystkie działy przewidziane dla wyżłów dowodnych, albo w konkursie psów młodych o zredukowanym programie.

Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacyj udziela Wiceprezes Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. dr Jan Łukowicz — Chojnice, Dworcowa 41.

KŁUSOWNICTWO.

WYROK ŚMIERCI NA KŁUSOWNIKÓW ZBRODNIARZY.

W połowie sierpnia b. r. w Chojnicach, przed wzmocnionym wydziałem karnym sądu okręgowego toczyła się rozprawa przeciwko zorganizowanej bandzie kłusowników, która w maju b. r. zamordowała strażnika granicznego ś. p. Tokarskiego z Kiełpin. Przewodniczył rozprawie prezes sądu p. dr. Halski w asyście sędziów pp. Bigajczyka i Zawki. Oskarżał wiceprokurator p. Kopa. Bronili oskarżonych adwokaci Szulc i Krzyżański z Chojnic. Na ławie oskarżonych zasiedli: Breska Jan, lat 23, robotnik murarski, kapral rez., zam. w Chojnicach przy szosie Tucholskiej; Trzeciński Bernard, robotnik, lat 23, karany za kłusownictwo, zam. w Upiłce, pow. chojnicki, Spiczak-Brzeziński Franciszek, czeladnik stolarski, lat 27 z Upiłki, Szypryt Florjan, robotnik, lat 31 z Upiłki, Trzeciński Albin, robotnik, lat 18, Jankowski Emanuel, rolnik z Upiłki i robotnik Trzeciński Franciszek z Upiłki.

Wszyscy oskarżeni w zupełności wzgl. częściowo przyznali się do winy. Trwający przez cały dzień przewód sądowy ustalił taki stan faktyczny: Od dłuższego czasu grasowała w północno-zachodniej części powiatu chojnickiego dobrze zorganizowana banda kłusowników, która stała się postrachem dla służby leśnej i straży granicznej. Doszło już do tego, że służba leśna obawiała się obchodzić teren leśny nawet z bronią, bowiem w biały dzień strzelano do leśniczych, a nawet podkradali się bandyci do zabudowań leśnych w celu dokonywania morderczych zamachów. Banda kłusowników steroryzowawszy służbę leśną, polowała w lasach, jakby na własnem.

Dnia 23 maja b. r. kłusownicy umówili się na polowanie w leśnictwie Kobylagóra. W południe zebrali się „strzelcy" i naganiacze w umówionem miejscu, poczem udali się na polowanie. Po 2 godzinach chodzenia po lesie napotkali bandyci stado jeleni, które jednak spłoszyli. Postanowiono tedy zmienić teren polowania, udając się w kierunku granicy państwa. Obawiano się zetknięcia ze strażą graniczną. Dla zbadania więc terenu bandyci wysłali naganiacza Albina Trzecińskiego, 17 lat liczącego. Obawy kłusowników ziściły się. Wysłany naganiacz przytrzymany został przez strażnika granicznego Tokarskiego, który kazał ujętemu klęczeć, sam zaś rozglądał się w terenie, spodziewał się bowiem nadejścia reszty bandy. Tak się też stało.

Kłusownicy z okrzyków „stój" zorjentowali się, że naganiacz został ujęty. Brat ujętego, Bernard Trzeciński, namówił towarzyszy, by pomogli mu „małego odbić". Odważniejsi z nich, Breska i Szypryt, zamienili strzelby i ruszyli naprzód. Reszta pozostała wzgl. zupełnie wycofała się. Po chwili Breska i Trzeciński Bernard ujrzeli strażnika Tokarskiego, do którego podeszli na odległość 12 metrów. Pierwszy strzelił z fuzji Breska raniąc ciężko strażnika w nogę. Ranny oddał również strzał, na który odpowiedział Trzeciński Bernard. Strzał jego ranił Tokarskiego w chwili, gdy ten upadał. Strzały były śmiertelne. Po dokonaniu mordu, sprawcy zbiegli.

O godz. 17 patrol straży granicznej znalazł na drodze leżące zwłoki ś. p. Tokarskiego. T. osierocił żonę z dzieckiem. W wyniku dochodzeń, policja ujęła 5 osobników, którzy w toku śledztwa przyznali się do zamordowania strażnika Tokarskiego. Udowodniono im jeszcze dwa usiłowane zamachy mordercze na leśniczego Stormana z Starego Mostu. Zamachy te miały podłoże porachunków osobistych. Na tle sporów majątkowych istniał zatarg pomiędzy rodziną Brzezińskich i leśniczym Stormanem. Podczas pewnej zabawy w Borowymmłynie pobity został oskarżony Spiczak-Franciszek, który podejrzewał, iż leśniczy Storman wydał tym osobnikom, którzy go pobili, wódki. Namówił tedy Breskę i Bernarda Trzecińskiego, by leśniczego Stormana „wykurzyli". Rozumieli oni to zbyt dosłownie, gdyż w marcu b. r., kiedy leśniczy Storman był w drodze do Lipienicy, oddali do niego kilka strzałów, które zraniły go w głowę. Oskarżony Szypryt w grudniu ub. roku usiłował zamordować leśniczego Stormana w jego mieszkaniu. W tym celu podszedł pod okno biura leśn. i oddał z fuzji strzał, który chybił.

Po przesłuchaniu świadków i zamknięciu przewodu sądowego wygłosili przemówienia: prokurator i obrońcy.

Ogłoszenie wyroku nastąpiło 17 sierpnia o godzinie 14-tej. Sąd ogłosił wyrok skazujący oskarżonych Breskę i Trzecińskiego Bernarda za zabójstwo strażnika na karę śmierci przez powieszenie oraz utratę praw obywatelskich na zawsze. Za inne czyny kary dalszej sąd nie wymierzył.

Oskarżony Szypryt skazany został na 5 lat więzienia za usiłowane zabójstwo leśniczego Stormana. Oskarżony Brzeziński Franciszek skazany został na karę więzienia przez 9 miesięcy za namowę do zranienia leśniczego Stormana. Reszta oskarżonych otrzymała po kilka miesięcy aresztu za kłusownictwo.

Obrońcy zgłosili apelację od tego wyroku. Na obecnych wywarł wyrok śmierci ogromne wrażenie. Skazańcy zupełnie załamali się.

TREŚĆ NUMERU:

Konkurs fotograficzny „Łowca Polskiego". Pieszlajtis — *Zdzisław Chrząstowski*. Humor myśliwski. Celowość stosowania ochrony od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę — *Władysław Zabiełło*. Hybrydy „Revesi" upiększeniem łowisk — *Adam Rzewuski*. Sokoły karły — *Władysław Gürtler*. Wolna Trybuna: w sprawie czasu odstrzału niedźwiedzi — *Wł. Burzyński* Odezwa do Delegatów Pow. P. Z. S. Ł. Piękny jubileusz myśliwski. Z kamerą przy gnieździe bociana. Sprawozdanie z zawodów w Berlinie. Ślepa łosza. Pokaz i konkurs psów myśliwskich na Pomorzu. Kłusownictwo.

Znaczny napływ nowych prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO" spowodował wyczerpanie Nr. 1 do 9 włącznie.

Zwracamy się z uprzejmą prośbą do PP. Prenumeratorów, którzy nie kompletują roczników o łaskawe przesyłanie nam wyżej wymienionych numerów „Łowca Polskiego" na koszt Administracji.

KOMISJA PROPAGANDOWA P. Z. S. Ł.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pól roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

„PIERRE COCHE“: PAYSAGES ET SCHASES DE POLOGNE“
(„KRAJOBRAZY I POLOWANIA W POLSCE“), Z PRZEDMOWĄ MAURYCEGO HR. POTOCKIEGO.

CENA ZŁ 6.50

W opisach swych Coche jest nietylko umiejętnym obserwatorem, lecz zamiłowanym entuzjastą piękna przyrody, które pod wszystkiemi postaciami umie do głębi poznawać i odczuwać.

Książka Coche'a musi zainteresować każdego kulturalnego myśliwego, w sposób zaś odmienny Polaków.
Wuzet. („Łowiec Polski“ Nr. 18 z r. 1934)

NABOJE ŚRUTOWE

WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI MYŚLIWSKIEJ

to gwarancja ostrości i maksymalnego pokrycia.

CENY ZNIŻONE

Bezdymne, w szarych gilzach pod nazwą „RYŚ“ z kapiszonem Gevelot-Sinoxid, za 100 sztuk **Zł. 20.—**

Bezdymne, jubileuszowe, w gilzach kolorowych z prochem Sokół i Gevelotem-Sinoxid za 100 szt **Zł. 24.—**

Żądać we wszystkich składach broni.

CENTRALA — Oddziały własne:

Warszawa	**Poznań**	**Lwów**	**Wilno**
Królewska 17.	Pierackiego 12.	Pl. Marjacki 4.	Wileńska 10.

MYŚLIWI!

NADSYŁAJCIE FOTOGRAFJE DO REPRODUKCJI W „ŁOWCU POLSKIM“

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

Pracownia wypychania ptaków i zwierząt, oprawa rogów, robienie dywanów i WYPRAWA SKÓR Z WŁOSEM
WIKTORA ŁASTOWSKIEGO
W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 10. Tel. 6-86-78.

NAPRAWA GEO-DEZYJNYCH INSTRUMENTÓW
UNIESZOWSKI WARSZAWA CHŁODNA 37

OGŁOSZENIA DROBNE

Dzikich indyków para do sprzedania ewentualnie do zamiany na kury bażancie. Wiadomość w Redakcji „Łowca Polskiego“.

Gajowi obeznani z hodowlą lasu, tresurą wyżłów, potrzebni od 1 października. Oferty, odpisy świadectw nadsyłać Warszawa, Al. Jerozolimskie 57—13.

Jamnika-karła, dobrze ułożonego, ostrego na lisy i króliki, czujnego i czystego z rodowodem kupi adwokat Szeszycki, Bydgoszcz, Gdańska 11.

Mannlicher-Schönnauer 8 m. m. z lunetą prawie nieużywany do sprzedania, z futerałem. Cena 400 zł. Zgłoszenia do Administracji „Łowca Polskiego“ pod Nr. 932.

Odstrzał jelenia w rewirze górskim w Bieszczadach, warunki poda mąj. Bucniów, woj. Tarnopolskie.

Pies setter-irland, czystej krwi, $1/2$ roczny, sprzedam. Leśniewski, Leśna Podkowa wschodnia.

Rolnik, kilkuletnia praktyka lasowa, poszukuje posady leśniczego, obznajmiony jest w prowadzeniu bażantarni, niszczyciel kłusowników, również zna się na prowadzeniu tartaków i nakładaniu rybołóstwa, chętnie przytem poprowadzi gospodarstwo rolne. Posadę może objąć w każdym czasie. Alfred Franzt Bezety dolne, Ustryki dolne.

Starszy-gajowy lat 28, żonaty, syn leśniczego-12 lat praktyki, dobre świadectwa i polecenia, hodowca bażantów. Poszukuje posady jakiejkolwiek od 1.X b. r. Zgłosz. do Łowca.

Wyżły do celów myśliwskich na własnych fermach zaprawia łowczy Marcin Andrzejewski, Pogorzel k/Mińska Mazowieckiego.

TANIE WYDAWNICTWA „ŁOWCA POLSKIEGO“

1. **Jarząbek** (monografja) — *Otton Pereświet Sołtan* . . . . . Zł. **1.—**
2. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska** — *inż. T. Śliwiński* . . „ **1.—**
3. **Wycenianie trofeów łowieckich** — *A. Dyck* . . . . . „ **1.50**
4. **Ocena trofeów myśliwskich** — *inż. H. Knothe* . . . . . „ **0.30**
5. **Wabienie wilków** — *Otton Pereświet Sołtan* . . . . . „ **0.75**
6. **Określanie wieku sarn na podstawie uzębienia dolnej szczęki** — *inż. L. Ossowski* „ **0.40**
7. **W sprawie dzierżawy polowań w lasach państwowych** — *W. Garczyński* . . „ **1.—**
8. **Słonka** (monografja) — *Leopold Pac Pomarnacki* . . . . . „ **1.—**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15